NOWOŚĆ!
MODLITEWNIK
Luksusowa, skórkowa oprawa.
Złocenia. Futerał.
Bogaty zbiór modlitw i pieśni kościelnych
Stron 416 CENA 25/-
Na zamówienie wysyła
KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"
12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

ROK IX. Nr 43 (435)

NIEDZIELA, 23 PAŹDZIERNIKA 1955 R.

JEŚLI LEKI, TO Z APTEKI
GRABOWSKIEGO
175, DRAYCOTT AVENUE,
LONDON, S.W.3. ENGLAND

PUNKTY WIDZENIA

DUSZA I CIAŁO

Z katechizmu wiemy, że człowiek składa się z duszy i z ciała. I dusza i ciało są darem Bożym. Wśród katolików, zwłaszcza polskich, panuje niepojęta pogarda dla ciała jako czegoś, co krępuje duszę i staje jej na drodze. Jedną z najbardziej rozpowszechnionych herezji jest wiara w wędrówkę dusz, wiążących się z coraz to innym ciałem, przy czym niekonsekwentnie uważa się, że ta wędrująca dusza ma w coraz to innym ciele być doskonalsza od wcielonej poprzednio. Wiara w metempsychozę jest pochodną niechrześcijańskiego lekceważenia ciała oraz starszych niż chrześcijaństwo idej spirytualistycznych, zwłaszcza platonizmu. Platon głosił, że związek duszy i ciała nie jest istotny, lecz przypadkowy, że człowiek, to dusza czasowo uwięziona w ciele, dążąca do tego, aby się z nim na zawsze rozstać.

Wedle nauki katolickiej, ciało dane człowiekowi, dane mu jest, podobnie jak dusza, na wieczność, z wyjątkiem czasu od śmierci do zmartwychwstania ciał po Sądzie Ostatecznym, kiedy ciało z duszą będzie złączone. Po Sądzie każda dusza przyjmie napowrót to ciało, z którym była złączona za życia, aby się już nigdy odeń nie odłączyć. Ciała wszystkich zmarłych wstaną z martwych, a ciała wybranych obdarzone będą właściwościami ciała Chrystusowego, to jest chwalebnego.*) Ciało tedy nie jest, jak głosili manichejczycy, pierwiastkiem zła, lecz darem Boga. Związek duszy z ciałem nie wychodzi jej na złe, lecz na dobre. Po cóż dusza miałaby się łączyć z ciałem, jeśli ciało byłoby tylko jej więzieniem? Ten związek przeczyłby celowości Stworzenia.

Osoba ludzka, to — rzecz jasna — i dusza i ciało równocześnie, dusza związana z ciałem. To połączenie jest koniecznością; św. Tomasz nawet nie uznaje samej duszy za zupełną ludzką osobę i nie przypisuje jej pełni ludzkiej natury, wtedy, gdy będzie czasowo rozłączona z ciałem po śmierci. Jestem tym, kim jestem, nie tylko dlatego, że mam duszę, ale i dlatego, że nam takie a nie inne ciało.

Z nauki katolickiej o naturze ludzkiej płyną bardzo doniosłe konsekwencje, szczególnie w okresie wojującego materializmu. Katolicy bowiem uznają i głoszą godność duszy i godność ciała równocześnie, czyli godność ludzkiej osoby, jako najwyższego dobra stworzonego. Człowiek, czyli substancja jednostkowa natury rozumnej, jest, wedle pięknego zdania jednego ze scholastyków średniowiecznych, „positus in medio" — postawiony w centrum wszechświata. Nie tylko jako najdoskonalszy byt cielesny, ale jako jedyne wśród stworzeń, posiadające i ciało i duszę. Dzięki obu tym elementom, dzięki temu „compositum" jesteśmy osobami, które mogą panować nad światem materialnym.

A cóż głosi materializm? Teza materializmu w klasycznym sformułowaniu brzmi: istnieją tylko substancje materialne, czyli: tylko ciała są substancjami, a substancje duchowe są urojeniem. Niezaprzeczona obecność w człowieku pierwiastka duchowego sprawiła, że materialiści dialektyczni zmodyfikowali klasyczną formułę tzw. naiwnego materializmu. Oto głoszą oni, że „duch jest wytworem materii", jej „nadbudową", lecz że „materia istnieje niezależnie od wszelkiego ducha". „Pierwotnie martwa materia, w której rozgrywały się tylko procesy fizykochemiczne, pozyskała nagle w pewnych swych częściach, w których te procesy doszły do wysokiego stopnia komplikacji, nową jakość, niesprowadzalną do jakości fizyko-chemicznych — jakość, którą nazywamy życiem. Materia zdobyła świadomość, zrodziło się w niej życie psychiczne."**) Chociaż materialiści głoszą prymat materii nad duchem (bo nie uznają duszy nieśmiertelnej), to jednak ciało ludzkie jako rzecz materialna jest u nich w pogardzie. Materializm przeczy istnieniu duszy i lekceważy ciało. Nie trzeba na to chyba przytaczać dowodów.

Natomiast nauka katolicka, a więc i Kościół i filozofia wieczysta, głosząc istnienie i nieśmiertelność duszy, troszczą się również o ciało ludzkie, w łączności z którym istnieje ludzka osoba. Dusza ludzka musi mieć realny podmiot, którym jest ciało. Rola elementu materialnego w człowieku jest więc, według nauki katolickiej, większa niż jego rola w materializmie. Wedle materialistów, ciało ginie raz na zawsze, wedle katolików, zmartwychwstanie. Dlatego Kościół traktuje ludzkie ciało z należną mu czcią. Łaska sakramentalna spływa na dusze poprzez znaki widzialne na ciele. Pogrzeb chrześcijański jest odprowadzeniem ciała na wieczny spoczynek, nie na wieczną zatratę.

Nie trzeba, rozumie się, popadać w skrajność i wygadzać ciału zapominając o duszy. Obowiązkiem ludzkim jest równowaga życia duchowego i cielesnego. Wolno nam korzystać z dóbr stworzonych w sposób zgodny z naszą naturą, a więc rozumnie. Dusza w związku z ciałem skłonna jest do grzechu, na skutek skażenia ludzkiej natury przez grzech pierwotny. Człowiek stracił pierwotną niewinność, czyli życie łaski. Zewsząd czyhają nań niebezpieczeństwa i pokusy. Obowiązkiem chrześcijanina jest praktykowanie cnót obyczajowych, z których jedna nazywa się wstrzemięźliwością. Przykazania Boskie są drogowskazami człowieka w życiu doczesnym.

Ale umiarkowanie ma swoje granice: nieumiarkowania i przesady. Bóg nie nakazał nam wstrętu do ciała ani traktowania go wyłącznie jako źródła zła i grzechu. Przeciwnie, naszym obowiązkiem jest utrzymywanie ciała w zdrowiu i w ogóle w takim stanie dobrobytu, aby móc najdoskonalej wypełniać swoje powołanie. Posiadanie i używanie dóbr doczesnych jest nieodzowne do jego wypełnienia, byleby się nie stały celem w sobie. Skłonności ciała, jeśli się nie sprzeciwiają nakazom Bożym i zgodne są z naturą człowieka, powinny być zaspakajane. Wstydu przed własnym ciałem Bóg nam nie nakazuje, skoro Bóg nam je dał. To samo ciało będziemy wszak mieć na wieczność, w obliczu Boga.

Walcząc z materializmem bronimy przed podeptaniem i lekceważeniem nie tylko duszę ludzką, ale i ciało. Wierzymy bowiem w duszę nieśmiertelną i w ciała zmartwychwstanie.

J. B.

*) Por. „Katechizm katolicki" Kard. P. Gasparri.

**) K. Ajdukiewicz „Zagadnienia i kierunki filozofii", Warszawa 1949.

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"
przygotowuje na
ROK MICKIEWICZOWSKI
wydanie zbiorowe
PISM POETYCKICH ADAMA MICKIEWICZA
w jednym tomie, objętości ponad 800 stron.
Będzie to jedyne emigracyjne wydanie pism Mickiewicza w stulecie zgonu Poety, zawierające niemal wszystkie jego pisma poetyckie, z wyjątkiem „Pana Tadeusza", wedle tekstów opartych na najnowszych wydaniach krytycznych.
TEN TOM PREMIOWY „BIBLIOTEKI POLSKIEJ"
ukaże się w grudniu bieżącego roku.
Zamówienia można już zgłaszać obecnie.
Cena w przedpłacie: dla stałych Abonentów „Biblioteki Polskiej" — 15/-;
dla zwykłych subskrybentów — 21/-.
Po okresie subskrypcyjnym
cena w księgarniach wynosić będzie za tom 30/-.

KS. MARCIN WOJCIECHOWSKI

AUTENTYCZNOŚĆ CAŁUNU TURYŃSKIEGO
W ŚWIETLE KRYTYKI NAUKOWEJ

W roku 1954 ukazała się na półkach księgarskich książka, nad którą jej autor pracował 28 lat. Już sam jej tytuł mówi za siebie: „Self-Portrait of Christ". Autorem książki jest redemptorysta dr sw. Teol., dyrektor studiów teologicznych oo. redemptorystów w Rzymie, O. E. Wuenschel, wydana zaś została przez Holy Shroud of Turin, Escopus, New York, 1954.

Książka porusza problem, nad którym od przeszło 50 lat toczy się na łamach pism naukowych ożywiona dyskusja. Autor poprzedził książkę dwoma artykułami, które miały być wygłoszone na międzynarodowym zjeździe sindonologicznym w 1950 roku w Rzymie, zwracając tym polemikę przeciw sobie. W ostatnim swym dziele autor oświetlił problem nowymi dowodami naukowymi.

O. Wuenschel'a zajmują dwa zagadnienia: pogrzeb Chrystusa i Całun Turyński. Oba te zagadnienia łączą się jednak w jedną całość. Jeżeli autor udowodni, że Całun Turyński jest autentyczny, czyli ten, w który było owinięte Ciało Jezusa Chrystusa po zdjęciu z Krzyża, wtedy siłą rzeczy nabiera mocy dowodowej jego teoria, że pogrzeb Chrystusa był tymczasowy. Dlatego też jest zrozumiałe, że autentyczność Całunu wysuwa się na pierwsze miejsce w polemice naukowej.

Polemika toczy się od przeszło pół wieku. Pewne atuty do zaatakowania autentyczności Całunu dała jego historia, która się składa z kilku dat, bardzo luźno ze sobą powiązanych. W ciągu wieków Całun wędrował między Edessą, Konstantynopolem, Lirey w Francji i wreszcie Turynem, gdzie ostatnio się znajduje.

Prawdziwa jednak historia Całunu oświetlona została datami lat: 1898, 1931 i 1933. W tych latach dokonano zdjęć fotograficznych, które wywróciły całkowicie wywody przeciwników.

Pierwszego zdjęcia dokonał w roku 1898 Pio Secondo, prawnik z zawodu, amator fotograf. Jakież było jego zdziwienie, kiedy na kliszy fotograficznej ujrzał nie negatyw, lecz pozytyw; Całun wyszedł na czarno, a plamy wodne i krwawe odbite zostały na biało. Przy tym Pio ujrzał wynurzające się dwie figury: tylną i przednią, które doskonale ze sobą harmonizowały z doskonałą proporcją człowieka. A nade wszystko uwypukliła się w światłach i cieniach, na tle odcinających się konturów, żywa twarz, na której pomieszane były ból i majestat, moc i pokój, uwydatniła się moc wyższego ducha, którego nie złamały ani śmierć, ani cierpienie.

Po głębszym studium okazało się, że tego rodzaju zdjęcie fotograficzne wcale nie było błędem technicznym w fotografice. Okazało się też, że sam Całun był negatywem, stał się nim w ciemni grobowej, przechowując w ten sposób w sobie sekret śmierci poprzez wieki. Po 19 wiekach na nowo możemy oglądać Mękę Pana Jezusa oraz to, czego sztuka nie mogła dokonać, a dokonała fotografia: mamy prawdziwe oblicze Chrystusa, wraz z ranami w rękach i nogach — emblematami Jego ofiary.

Zdjęcie fotograficzne Pia, rzecz oczywista, dokonało przewrotu w mentalności uczonych. Jeżeli są dwa obrazy i są dokładnie takie same, to tym samym wyklucza się jakikolwiek falsyfikat. Całun zdobywa dla swej autentyczności nowy dowód, którego nie można obalić, a przy tym dowód dostrzegalny, łatwo dający się sprawdzić.

W roku 1931 dokonane było nowe zdjęcie, które wywołało nowe poruszenie w świecie naukowym i nowe dyskusje na temat Całunu. Zdjęcie to dokonane (było ich aż 12) w warunkach bardzo sprzyjających. Fotografem był Józef Enrie ekspert fotograficzny z Turynu. Jego zdjęcia — jak i poprzednie Pia — wykazały, że obie figury na Całunie są negatywami.

W roku 1933 z racji Roku Jubileuszowego Zbawiciela Całun był na nowo wystawiony na widok publiczny i była możność znowu dokonania zdjęć fotograficznych, tym razem przy świetle już dziennym, kiedy procesja z Całunem zatrzymała się na 10 minut na schodach katedry.

OPOZYCJA

Opozycja przeciwko wywodom ojca Wuenschel'a wyszła ze strony o. Brauna, O.P. i egzegetów w Niemczech, którzy przyjęli punkt patrzenia tego pierwszego. W wywodach o. Brauna możemy rozróżnić jedne z nich natury historyczno-naukowej, drugie egzegetyczne. W wywodach historyczno-naukowych o. Braun nie był oryginalny; zaczerpnął je całkowicie — i to bez próby krytycznej oceny — z teorii Chevaliers'a sprzed 50 laty, który swój

krytyczny stosunek do Całunu oparł na jakichś dokumentach, wydobytych z archiwum, twierdząc, że dwie figury na Całunie są falsyfikatem z XIV wieku. Aby zrozumieć współczesną dyskusję, trzeba zwrócić się do tej sprzed 50 laty, która rozwinęła się między stanowiskiem Delage'a a Chevaliers'em i szkołą wolnomyślicielską we Francji.

Stanowisko Delage'a: Po zdjęciu dokonanym w r. 1898, sprawą Całunu zajął się Delage, członek Francuskiej Akademii Nauk w Paryżu, agnostyk, z głębokim uprzedzeniem przeciwko wszystkiemu, cokolwiek by miało charakter religijny, cudowny lub nadprzyrodzony. Po półtorarocznych studiach nad Całunem, Delage podejmuje się bronić jego autentyczności przed zebraniem Akademii Francuskiej, złożonej wówczas ze sceptyków i wolnomyślicieli. Zebranie, na którym wystąpił Delage, było tak liczne, jakiego nie zanotowały kroniki od czasów Pasteur'a, a zainteresowanie było tym większe, że opozycja wyszła tak z kół katolickich, jak i wolnomyślicielskich. Działo się to 21 kwietnia 1902 roku. Data ta miała dla Całunu znaczenie historyczne.

Zwracając się przeciwko Chevalier-s'owi i jego zwolennikom Delage powiedział, że Całun nie był namalowany ani w wieku XIV, ani w żadnym innym wieku. Stawiać taką hipotezę, mówi on, jest absurdem, choćby nie wiem ile dokumentów było w tej sprawie. Przed nami znajduje się dowód, mówił on dalej. Zdjęcie fotograficzne z dokładnością oddaje dwie figury w negatywie, a żadnemu artyście nie mogła zrodzić się myśl negatywu przed epoką fotografiki. A przy tym są dwie figury, jakkolwiek na płótnie, oddane z taką dokładnością anatomiczną i perspektywą i estetyką, a nade wszystko twarz staje się tak cudna w swojej ekspresji w światłach i cieniach, że nie dorówna tu najlepsze dzieło z epoki Renesansu. Jest to prawdziwy „achiropoeton", dzieło nie ludzką ręką uczynione.

Należy odrzucić, mówił Delage, koncepcje falsyfikatu. Któż mógłby wyobrazić sobie artystę, u którego zrodziłaby się idea negatywu na kilka wieków przed epoką fotografiki i który by umiejscowił tak światła i cienie, aby odwrócony negatyw dał doskonały obraz-portret? I znowu pytanie: dlaczego artysta nie miałby malować dla współczesnych, lecz dla Akademii Nauk w wieku XX?

Dwie figury na Całunie, mówił Delage, odbite siłą naturalnego przenikania, są odbiciem prawdziwego Ciała Jezusa Chrystusa. Dla zrozumienia jak to się stało, wprowadza Delage specjalną teorię, zwaną „parowaniem albo subtelną emanacją ciała", która opiera się na trzech elementach:

1) Ciało Chrystusa, nie umyte po śmierci, pokryte było potem gorączkowym, który w dalszym procesie zamienił się w pot amoniakowy.

2) Aloes, którym był posypany Całun, wraz z potem amoniakowym wytworzył ciemne plamy na Całunie.

3) Do wytworzenia się odbicia na Całunie współdziałała jeszcze i wilgoć, która w dostatecznej ilości utrzymywała się w grobie.

Podwójny zatem obraz, wytworzony na Całunie, to nie zwyczajna fotografia wytwarzająca się przez światła i cienie w komorze aparatu fotograficznego, lecz coś, co wytworzyło się dzięki emanacji bez żadnej interwencji ludzkiej.

Czyje jest to ciało odbite na Całunie, powstaje zaraz pytanie, na które Delage odpowiada, że to nie mogło być inne ciało, jak tylko Jezusa Chrystusa. Ani historia, ani legendy nie znajdują nikogo, na kim by wypełniły się wszystkie okoliczności męki, jak to się stało na Chrystusie, zgodnie ze świadectwem Ewangelii. Jeżeli to nie był Chrystus, to musiał to być tylko złoczyńca, ciągnął dalej, a jak w takim razie pogodzić z tym tak szlachetny wyraz twarzy, która została odbita na Całunie?

Inna opozycja w stosunku do Delage'a i do sprawy Całunu wyszła ze strony obozu wolnomyślicieli we Francji. M. Bertholet, stały sekretarz Akademii, przewódca wolnomyślicieli, wróg wszystkiego, cokolwiek miało związek z religią, usiłował najpierw nie dopuścić Delage'a do przedstawienia wyników jego studiów przed akademią nauk. Nadużył swego autorytetu jako sekretarz akademii, nie umieściwszy w periodyku akademickim tej części sprawozdania, w której mowa była o Całunie i jego autentyczności. Ponadto zaatakował samego Delage'a za to, że ten zajmując się tymi sprawami, obniża swój autorytet naukowy.

Przeciwko tym wszystkim wystąpieniom Delage odpowiedział otwartym listem do redakcji „Revue Scientifique". Umieścił w nim tę część sprawozdania, którą Bertholet opuścił, uzasadnił jeszcze raz autentyczność Całunu i odrzucił zarzut, jakoby zajmowanie się tą sprawą nie odpowiadało ca-

(Dokończenie na str. 2)

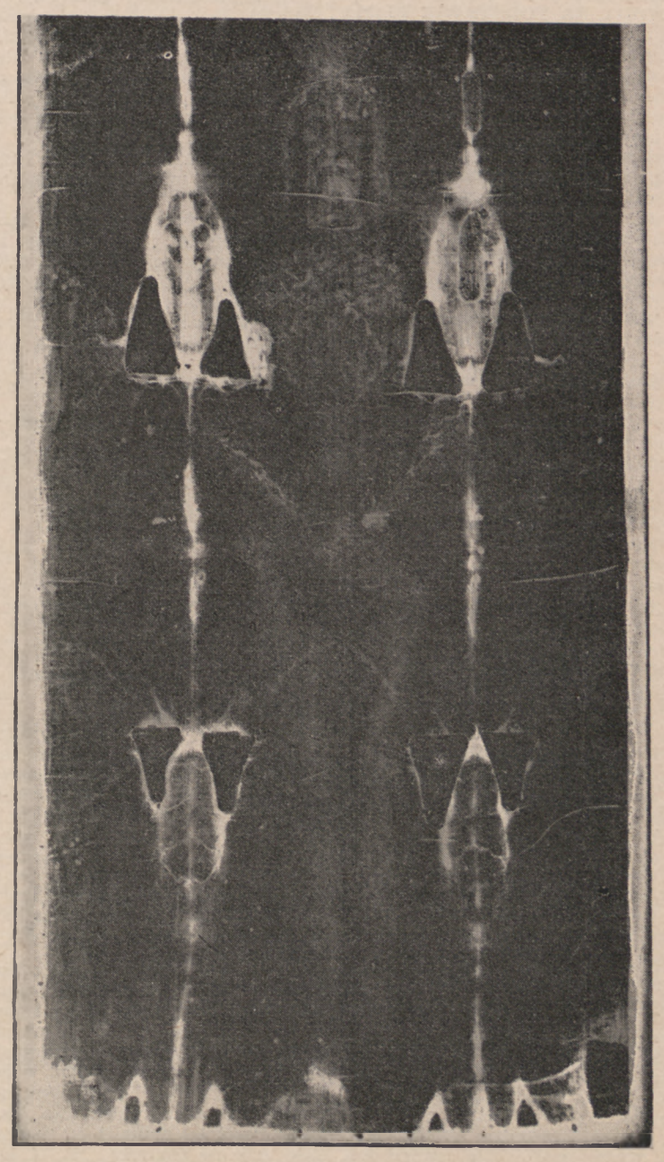

Pozytywy fotograficzne Całunu Turyńskiego, wykonane przez G. Enrie'go w roku 1930.

AUTENTYCZNOŚĆ CAŁUNU TURYŃSKIEGO

(Dokończenie ze str. 1)

łości jego pracy naukowej. „Ja uznaję — oświadczył — Chrystusa, jako postać historyczną, i nie widzę racyj, dlaczego ktoś miałby się gorszyć tym, że są jeszcze relikwie Jego ziemskiego życia." Wykrywa prawdziwe przyczyny ataku na niego, które nie wynikały, bynajmniej, z gorliwości o naukę, lecz z tego, że to jest sprawa religii. „Gdyby tu, zamiast Chrystusa — powiedział — była mowa o Sargonie, Achillesie czy jakimkolwiek innym faraonie, nikt by nie myślał wysuwać obiekcyj."

Po tych wywodach przystąpimy do współczesnych kontrowersji, które opierają się na pierwszych i są, można powiedzieć, dalszym ich ciągiem.

O. Braun, O.P., swoje zarzuty, jak powiedzieliśmy wyżej, w części historycznej oparł na skompromitowanej teorii Chevaliers'a. Dokumenty, których się dolicza aż 50, w rzeczywistości sprowadzają się do dwóch i to wątpliwej wartości historycznej, gdyż wobec nowych odkryć fotograficznych są nie do utrzymania. Nie wydaje się, mówi o. Wuenschel, aby o. Braun był obiektywny. Zamiast tego, aby zająć się samą sprawą Całunu i poddać ją ocenie krytycznej, o. Braun bezkrytycznie oparł się na teorii Chevaliers'a, darząc ją pełnym zaufaniem oraz na krytyce Jerphanian'a i M. Eskenazego. Ten ostatni swoje poglądy wypowiedział w rozprawie doktorskiej pt. „Le Saint Suaire de Turin devant l'histoire la science et la medecine" w 1938. Autor idąc za najskrajniejszym racjonalizmem francuskim, opiera się na poglądach, że Chrystus nigdy nie istniał, a chrześcijaństwo jest religią mitów i legend. Wydaje się, mówi o. Wuenschel, że o. Braun nie był świadom tej książki.

O. Braun odmawia siły dowodowej fotografiom Enrie, jakkolwiek były one dokonane w warunkach naukowych, pod ostrą kontrolą komitetu ekspertów fotograficznych, która stwierdziła, że zdjęcia technicznie są doskonałe i wolne od najmniejszego nawet retuszu. Dalsza przytaczana racja o. Brauna jest ta, że Całun nie został poddany chemicznej analizie, spektoskopii i fluoroskopii. Wysunął ją nie zdając sobie sprawy, że na taką analizę nikt nie pozwoli ze względu na samo bezpieczeństwo Całunu. O. Braun przy swojej uporczywej opozycji nie potrafił przytoczyć żadnego realnego dowodu przeciwko autentyczności Całunu.

Przy dyskusji Wuenschel wysuwa następujące zasady, które powinny być brane pod rozwagę.

1) Dokładne poznanie obrazu wyrażonego na Całunie i tekstów Pisma Świętego. Brak jednego z nich będzie wprowadzał nieporozumienie.

2) Obrazy odbite na Całunie są rzeczywistością, która powinna być brana pod uwagę przez obie strony dyskutujące.

3) Obrońcy autentyczności Całunu nie muszą rozwiązywać wszystkich trudności egzegetycznych, gdy chodzi o pogrzeb Chrystusa. Wystarczy stwierdzić, że pomiędzy obrazami na Całunie i tekstami Pisma Świętego nie ma sprzeczności.

4) Pismo Święte należy wyłożyć, a nie nakręcać do swoich poglądów. (Sensum Scripturae exponere, non sensum proprium imponere) jest to kardynalną zasadą przy interpretacji Pisma Świętego. O. Braun tych zasad nie wziął pod uwagę przy polemice.

DOWODY NA PODSTAWIE PISMA ŚWIĘTEGO

Przy dyskusji nad autentycznością Całunu trzeba sięgnąć do kwestii pogrzebu Pana Jezusa, przy której poglądy całkowicie się rozchodzą. Obrońcy autentyczności Całunu, biorąc pod uwagę teksty Pisma Świętego, stwierdzają, że pogrzeb Chrystusa był prowizoryczny. Ciało Chrystusa było zawinięte w prześcieradło i złożone do grobu bez umycia i namaszczenia olejkami, jak to było w zwyczaju u Żydów. Stało się tak po prostu z braku czasu z powodu nadchodzącej świętej Soboty.

O. Braun upiera się przy pogrzebie ostatecznym. Twierdzi, że Ciało Chrystusa zostało umyte i namaszczone olejkami, twarz okryta chustą, a prześcieradłem Ciało było obwiązane.

Sięgnijmy teraz po świadectwa Ewangelij, wśród których rozróżniamy Synoptyków i św. Jana. Wszyscy Synoptycy, tzn. święci Mateusz, Marek i Łukasz mówią, że Józef z Arymatei zdjął Ciało Chrystusa z Krzyża, owinął w prześcieradło i położył w grobie. Wszyscy używają dla nazwy Całunu wyrażenia greckiego „sindon", co ma znaczenie szerokie, rozumiane jest też jako prześcieradło. U Ewangelistów znajdujemy takie szczegóły, które mają znaczenie przy interpretacji tekstów. Marek mówi, że Józef kupił prześcieradło, kiedy otrzymał zezwolenie na zdjęcie Ciała z Krzyża. Mateusz notuje taki szczegół, że prześcieradło było czyste (ponieważ nowe). Mateusz i Łukasz mówią, że Ciało było zawinięte. Wszyscy trzej mówiąc o pogrzebie, wskazują na rację szybkiej procedury: było późno, był to dzień przygotowań do paschalnej Soboty, w którą Żydzi, stosując się ściśle do prawa, powstrzymywali się od pracy. Mateusz i Marek stwierdzają, że od śmierci Chrystusa do schyłku dnia, według obliczeń prawnych czyli do zajścia Soboty, pozostało zaledwie trzy godziny czasu. W tym tak krótkim czasie Józef udał się do Piłata prosić o pozwolenie zdjęcia z Krzyża Ciała Pana Jezusa. Pozwolenie otrzymał, ale nie od razu. Piłat zdziwił się, że tak prędko Chrystus umarł: zatrzymał u siebie Józefa i posłał setnika, który stwierdził śmierć Chrystusa. Kiedy śmierć była stwierdzona, Piłat zgodził się wydać Ciało Jezusa.

W drodze powrotnej Józef zakupił prześcieradło i udał się na Kalwarię, gdzie czekało go jeszcze bardzo trudne zadanie: zdjąć Ciało z Krzyża, a czas uciekał tak, że trzeba było spieszyć się z pogrzebem, aby nie zaszła Sobota. Św. Łukasz notuje, że już zapadał zmierzch: „A był to dzień przygotowania i szabat się zaczynał" (Łk. 23, 54).

Inna jeszcze była racja pośpiechu. Prawo żydowskie nakazywało, aby skazańcy byli pogrzebani przed nadejściem nocy, aby ziemia nie została sprofanowana. (Deut. 21, 23). Kiedy Rzymianie wprowadzili w Palestynie karę krzyżowania, prawo żydowskie uszanowali. Filo, który o tym świadczy, mówi: „Niech słońce nie zachodzi nad ukrzyżowanym". Jasne więc jest, że był pośpiech z pogrzebem Pana Jezusa.

Wplata się tu też rola kobiet, które udziału w pogrzebie nie brały, przyglądały się tylko z daleka, gdzie i jak Ciało Chrystusa było położone. Kiedy grób został założony dużym kamieniem, one wróciły do miasta, przygotowały wonne olejki i o świcie zaraz po szabacie przyszły do grobu namaścić Ciało, uzupełnić to, co było opuszczone. Wszystko to staje się jasnym w świetle słów Chrystuca powiedzianych w Betanii do Marii z Magdali: „Ta co mogła uczyniła; naprzód już namaściła ciało moje na pogrzeb" (Mk 14, 8). W Ewangeliach nic się nie mówi o umyciu Ciała Chrystusa, odwrotnie, wszystkie okoliczności wskazują na to, że pozostało ono nie obmyte.

O. Braun ma inny pogląd na Synoptyków. Dopuścić myśl prowizorycznego pogrzebu, mówi on, to jest to samo, co dopuścić albo zgodzić się z krytykami racjonalistycznymi. Krytycy, jak wiadomo, teksty Pisma Świętego przypisują prawu ewolucji wiary i religijnych przeświadczeń, a co z tego wynika, księgi Pisma Świętego stanowią, według nich, utwory kompilacyjne. Racjonaliści w swoich poglądach na pogrzeb Chrystusa dochodzą do dziwolągów i absurdów. Twierdzą oni np. że Chrystus, jako skazaniec był pochowany w okolicy Kalwarii; w nocy Józef z Arymatei przeniósł Ciało Jezusa potajemnie do innego grobu. Tym chcą zdyskredytować historię pustego grobu, dogmat Zmartchwychwstania i zatrzeć miejsce, gdzie spoczywało Ciało Pana Jezusa.

O. Braun stawia tezę, że pogrzeb Chrystusa był ostateczny, wszystkie obrzędy pogrzebowe były dokonane i Ciało Chrystusa było położone w grobie. Stąd też niewiasty nie mogły uzupełniać żadnych obrzędów; przyjście ich było zwyczajnym odwiedzeniem, aby złożyć Mistrzowi hołd czci i miłości, a namaszczenia nie można brać w ścisłym słowa tego znaczeniu; miało to być zwyczajne pokropienie olejkami na święte resztki bez zdejmowania prześcieradła.

O. Braun nie znajduje dla siebie argumentów u Synoptyków, a odwołuje się do św. Jana i do Talmudu, według którego dla zmarłego wszystko może być przygotowane nawet w sobotę. Powstaje jednak zaraz pytanie, dlaczego Żydzi, kiedy jeszcze Pan Jezus wisiał na Krzyżu, prosili Piłata, aby połamał skazańcom golenie, by ich ciała nie pozostawały na krzyżach w Sobotę.

O. Braun, chcąc zaatakować Całun, pisze, odwołując się do Talmudu, że nie było w zwyczaju żydowskim, aby kobiety brały udział w przygotowaniach umarłego do pogrzebu. Św. Łukasz, opisując pogrzeb Chrystusa, nie pozostawia żadnej wątpliwości, kiedy pisze: „A niewiasty, które z Nim przybyły z Galilei, przyszedłszy, obejrzały grób i jak było położone Ciało Jego. A wróciwszy się przygotowały wonności i maści. Ale w szabat dały pokój, wedle przykazania." (Łk. 23, 55-56).

O. Wuenschel stwierdza, że odbicia na Całunie są zgodne z opisami Synoptyków i św. Jana. Zwraca uwagę na tekst św. Jana, który tak mówi: „Przybył też i Nikodem, który niegdyś był w nocy przyszedł do Jezusa, niosąc mieszaninę mirry i aloesu około stu funtów. Wzięli tedy Ciało Jezusowe i obwiązali je z wonnościami w prześcieradła, jak Żydzi mają zwyczaj grzebać. A na miejscu, gdzie został ukrzyżowany, był ogród, w ogrodzie zaś grób nowy, w którym jeszcze nikt nie był położony. Tam więc, ponieważ grób był blisko, z powodu żydowskiego dnia przygotowania, położyli Jezusa" (Jan, 19, 39-42). Cały ten opis wskazuje, że pogrzeb Jezusa dokonywał się w pośpiechu. Wyrażenie obwiązali, nie może być podstawą dla przeciwników Całunu, którzy chcą wykazać, że Ciało Chrystusa nie było zawinięte w prześcieradło, lecz obwiązane, jak mumie egipskie. Obwiązywanie ciał umarłych na sposób egipski było obce dla Żydów. Chusta, którą znaleziono w grobie, nie służyła do zakrycia twarzy, jak tego chcą przeciwnicy, lecz do przywiązywania dolnej szczęki.

Całun Turyński jest zgodny ze wszystkimi Ewangeliami i nie bez słuszności Całun przez jego obrońców nazwany został „Piątą Ewangelią" w sensie przenośnym, ponieważ obrazy odbite na Całunie wyrażają Boską Ofiarę i ilustrują teksty ewangeliczne z dokładnością i żywym opisem Męki Pana Jezusa i hołdu oddanego Mu w grobie. To przenosi nas do tego momentu, kiedy święte szczątki ożywione zostały nowym życiem i Chrystus zmartwychwstał do chwały, pozostawiając na Całunie swoje podobieństwo w śmierci — dla następnych wieków.

Ks. Marcin Wojciechowski

POMÓŻMY INSTYTUTOWI POLSKIEMU

AKCJI KATOLICKIEJ W W. BRYTANII

Święto Chrystusa Króla, które za tydzień będziemy już po raz trzydzieści obchodzili, jest zarazem dorocznym świętem Akcji Katolickiej, a więc tego działania ludzi świeckich w Kościele, które tak głęboko sięgnęło we wszystkie dziedziny życia. W dniu tym szeregi Akcji Katolickiej gromadzą się pod sztandarami Chrystusa Króla, aby publicznie oddać cześć Panu Prawdy, Miłości i Łaski i aby od tego dnia rozpoczynać nowy okres swej pracy.

Akcja Katolicka jest zakazana w krajach okupowanych przez Sowiety, nie ma jej więc i w Polsce. Polski Instytut Akcji Katolickiej w W. Brytanii jest zatem obecnie jedynym tego rodzaju polskim instytutem na całym świecie. Warto przy okazji przypomnieć, że Instytut Polski Akcji Katolickiej, w skrócie IPAK, spełnia dziś bardzo doniosłe zadanie na uchodźstwie, gdyż nie tylko służy stałą pomocą Kołom Akcji Katolickiej i przygotowuje katolickich pracowników społecznych na kursach i zjazdach, konferencjach itp., ale również utrzymuje łączność między wszystkimi katolickimi organizacjami polskimi i koordynuje ich działalność. Instytut prowadzi też akcję wydawniczą i kolportażową — przez stałe objazdy środowisk polskich w Wielkiej Brytanii — oraz wydaje miesięcznik pn. „Czyn Katolicki", docierając tym pismem do wszystkich krajów, gdzie tylko Polacy się osiedlili.

IPAK reprezentuje na obczyźnie polskich katolików i nasze sprawy w międzynarodowych organizacjach katolickich. Na zlecenie duchowego Opiekuna emigracji, J. E. ks. arcybiskupa J. Gawliny, Instytut prowadzi stałą akcję informacyjną o położeniu Kościoła w Polsce, wydając specjalne materiały w obcych językach.

Czytając to niejeden Czytelnik zapyta: — na jakich środkach materialnych opiera swą pracę IPAK?

Otóż budżet roczny IPAK, który nie przenosi £ 1.200, oparty jest głównie na ofiarności naszego społeczeństwa katolickiego, a więc na jego dobrej woli i zrozumieniu znaczenia prac Instytutu. Stale zatrudnione są w nim dwie osoby, które często odwiedzają środowiska polskie w W. Brytanii i z którymi w IPAK i w terenie współpracuje cały szereg jednostek dobrej woli. Każdemu, kto widzi i zna tę pracę, zdawało by się, iż powinna się ona spotykać nie tylko ze zrozumieniem i pomocą, ale również z poparciem materialnym całego naszego katolickiego społeczeństwa. Co jednak stwierdzają cyfry?

Oto zbiórka doroczna w całej Wielkiej Brytanii oraz zbiórki niedzielne w Londynie dają razem około £ 500. Jeżeli przyjmiemy, że w Wielkiej Brytanii na 150 tysięcy Polaków przynajmniej jedna trzecia rozumie doniosłość pracy IPAK i może ją materialnie wesprzeć, to owo wsparcie wyraża się przeciętnie datkiem po **dwa i pół pensa od osoby na rok.** Czy to jednak nie jest za mało? Czy w jednym dniu dorocznej akcji zbiórki na Akcję Katolicką, jedyną w tej chwili polską Akcję Katolicką na świecie i jej Instytut, nie możemy i nie powinniśmy złożyć więcej? Tyle, aby budżet IPAK w pełni pokryć, a nawet jego zasięg i pracę podwoić?

Tak niska średnia kwota ofiarności dowodzi, że ta ofiarność nie jest równomiernie rozłożona, że gdy jedni dają wiele, to inni może jeszcze nie widzą tej palącej potrzeby. I do nich właśnie dziś apelujemy. Dwa i pół pensa rocznie, to za mało, stanowczo za mało...

Dotychczas część budżetu pokrywano z ofiar składanych przez katolików angielskich. Ta ofiarność maleje i temu nie można się dziwić, bo społeczeństwo polskie w Wielkiej Brytanii prezentuje się dostatnio i wygląda na to, że stać je na utrzymanie własnej Akcji Katolickiej w tym kraju. Nie wypada więc nam teraz wyciągać ręki do obcych o pomoc materialną w pracy, na której nam, jako Polakom i katolikom, przede wszystkim zależy. Wypada i można nasz Polski Instytut Akcji Katolickiej na obczyźnie oprzeć materialnie na polskim groszu, składanym w dniu Chrystusa Króla.

PRZED ŚWIĘTEM CHRYSTUSA KRÓLA

W niedzielę, 30 października, o godz. 1 w kościele Brompton Oratory zostanie odprawiona uroczysta Msza św. celebrowana przez ks. infułata B. Michalskiego. Kazanie wygłosi ks. mgr K. Krzyżanowski, Asystent Kościelny Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii.

Wieczorem w sali westminsterskiej (dojazd do st. Victoria) o godz. 7 rozpocznie się obchód ku czci Chrystusa Króla. Program obejmuje: słowo wstępne — J. Baliński-Jundziłł, referat: „Kościół w świecie dzisiejszym" — J. Czaharski, słuchowisko: „Poezja polska w hołdzie Chrystusowi Królowi" w opracowaniu J. Kisielewskiego wykona Zespół Dramatyczny P. S. K. „Devonia" w reżyserii art. dram. S. Laskowskiego, dekoracje — art. mal. E. Konkel. Chór im. F. Nowowiejskiego pod dyrekcją P. Wojciechowskiego. Przy fortepianie Z. Coughlam, skrzypce — J. Grynkiewicz i Z. Faczyński. Wstęp wolny.

Na piękne te uroczystości zaprasza wszystkich Instytut Polski Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

NIEBEZPIECZEŃSTWO... PARCELACJI

Życiu polskiemu na uchodźstwie grozi zaczyna jedno wielkie niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo to jest większe niż to, które płynie z osławionych swarów politycznych. Jest może nawet bliższe od niebezpieczeństwa obcych wpływów, bliższe od niebezpieczeństwa wynarodowienia. Większe jest dlatego od innych niebezpieczeństw, że jest powszechniejsze i że już się pojawiło. Na imię mu parcelacja emigracji.

Parcelacja emigracji to znaczy rozpadanie się jej na tyle ośrodków, ile jest krajów polskiego wychodźstwa. Parcelacja emigracji to znaczy parcelacja sprawy polskiej w wolnym świecie. Parcelacja emigracji to znaczy anarchia. Parcelacja emigracji to znaczy pomniejszenie skali naszych działań, to znaczy zniechęcenie lub zmarnowanie wszystkich ludzi o naprawdę szerszych horyzontach i większych zdolnościach, tych wszystkich, którym nie wystarczy działanie w oderwanej grupie narodowościowej w jednym mieście, prowincji czy stanie.

Niebezpieczeństwo parcelacji jest powszechniejsze od niebezpieczeństwa wynarodowienia. Polacy są bardzo przywiązani do swej mowy i tradycji, są w swej masie patriotyczni i uparci. Kultura polska jest bogata i odrębna. Wynarodowienie nie postępuje szybko. Grozi ono naprawdę dopiero pokoleniu wychowanemu na obczyźnie. I tu przecież znajduje się środki częściowego przynajmniej przeciwdziałania.

Niebezpieczeństwo parcelacji jest bardziej bezpośrednie od niebezpieczeństwa wpływów obcych. Oczywiście, że wśród emigracji naszej działają wpływy obce, że muszą być także agenci obcy. Przy uświadomieniu politycznym uchodźstwa działanie obcych agentur jest jednak ograniczone. Gdy przybiera większe rozmiary, zostaje rozpoznane i można mu przeciwdziałać.

Swary polityczne na pewno szkodzą sprawie polskiej. Dopóki jednak toczą się o kierunek działalności polskiej w świecie, o organizację przedstawicielstwa polskiego na Zachodzie, mają przy wszystkich swych złych stronach tę jedną dobrą, że utrzymują zainteresowanie sprawami ogólnymi, że podkreślają znaczenie polskiego ośrodka politycznego w świecie.

Parcelacja, czyli rozpad emigracji na kilkanaście, a potem i na kilkadziesiąt ośrodków w praktyce od siebie niezależnych oznaczałaby nie tylko bezwład polityczny, ale wzmożenie tamtych wszystkich niebezpieczeństw. O ile łatwiej o wynarodowienie przy braku trwałej więzi polskiej i przy braku wspólnej opinii! O ileż trudniej się bronić przed wpływami obcymi jednemu ośrodkowi pozbawionemu nieraz dostatecznego doświadczenia! O ileż szkodliwszy jest dla sprawy polskiej swar między Poloniami poszczególnych państw niż między organizacjami politycznymi ogólnopolskimi!

Czy niebezpieczeństwo parcelacji emigracji jest rzeczywiste? Czy istotnie grozi ono bezpośrednio?

Grozi ono jak najbardziej. A grozi między innymi właśnie dlatego, że sobie z niego nie zdajemy sprawy. Wielu ludzi przykładających w tej chwili rękę do tej rozkładowej roboty, nie zdaje sobie zupełnie sprawy z tego, co robi. Nieraz sądzą oni nawet, że właśnie uzdrawiają politykę polską, gdy w rzeczywistości ją rozkładają. Działają w najlepszej intencji, ale mimo woli dają ilustrację tego przysłowia, że dobrymi chęciami droga do piekła brukowana.

Od zakończenia drugiej wojny światowej minęło dziesięć lat. Przez te dziesięć lat sprawa niepodległości Polski nie posunęła się naprzód. Polityka polska nie może się poszczycić żadnymi efektownymi zdobyczami. Żeby nawet kierownictwo polityczne polskie było jak najidealniejsze, nie mogłoby w obecnej sytuacji nie tylko wypędzić Sowietów z Polski, ale nawet stworzyć polskich sił zbrojnych na Zachodzie, ani zdobyć sobie uznania międzynarodowego. W tych warunkach w miarę upływu lat u wielu działaczy polskich powstało zniechęcenie i niewiara w skuteczność wysiłków politycznych emigracji. Nie każdy umie dostrzec i ocenić znaczenie tych nieefektownych ustawicznych wysiłków utrzymania sprawy polskiej w świecie i przygotowywania polityków innych narodów na chwilę, gdy decyzje w sprawach polskich będą zapadały.

Jeszcze trudniej rozróżnić, co w ośrodku politycznym polskim jest sporem jałowym, wywołanym przez ambicje ludzkie i zamiłowanie do pieniactwa, a co sporem poważnym, twórczym, dyskusją owocną. Najłatwiej nieraz nie dostrzec tego drugiego wcale.

Toteż wielu ludzi powiada sobie: oni się tam tylko kłócą i nic z tego nie wynika dobrego, to my najlepiej zrobimy jak się od tych sporów politycznych odetniemy, jak sami w swoim środowisku będziemy zbierać środki i sami decydować na co je wydawać; to jest sposób najlepszy i najbardziej demokratyczny.

Demokracje bywają różnego rodzaju. Demokracja Polski szlacheckiej w dobie jej rozkładu polegała na tym, że szlachta każdego województwa uchwalała co ma sejm zrobić, a jak sejm nie uchwalał tych wniosków, to poseł z danego województwa zakładał sprzeciw i sejm się rozlatywał. Polska stała się wówczas w gruncie rzeczy luźną federacją kilkudziesięciu ziem, z kilkudziesięciu suwerennymi sejmikami. Ta anarchia skończyła się upadkiem państwa. Dziś taką smutnej pamięci demokrację chce się wprowadzić na emigracji.

Panowie bracia na sejmiku (dajmy na to) w Port Darwin uchwalili, że trzeba utrzymać placówkę dyplomatyczną w (dajmy na to) Lizbonie, a panowie bracia na sejmiku w Commodore Rivadavia uchwalą, że nie chcą żadnej placówki tylko wydadzą słownik polsko-patagoński. Sejmik w Salt Lake City uchwali potępić Perona, a sejmik w Neapolu wezwie wszystkich Polaków do przyjmowania obywatelstwa panamskiego. A ponieważ nie ma dziś króla, który by mógł z dochodów z własnych dóbr łożyć na wyprawianie posłów, więc działalność polska w świecie ograniczy się do sporadycznych amatorskich wystąpień i do zabiegów poszczególnych ośrodków u władz administracyjnych i posłów poszczególnych prowincji czy, w najlepszym wypadku, państw.

Obraz może w tej chwili przesadny, ale wcale nie fantastyczny. W niektórych krajach takie tendencje wśród Polaków są już całkiem widoczne, są faktem. Są nawet miejscowości, gdzie przewodniczący Komisji Skarbu Narodowego powiada: Dopóki się wszyscy nie pogodzą, nie będę zbierał składek. Nie było jeszcze takiego społeczeństwa, w którym by się dosłownie wszyscy pogodzili. Nawet w najbardziej zdyscyplinowanych społeczeństwach i nawet w obliczu wojny, kiedy główne kierunki zawieszają współzawodnictwo i wspólnie tworzą rząd, pozostaje jakaś opozycja, pozostają niezadowoleni. Demokracja prawdziwa polega nie na jednomyślności i Liberum Veto, ale na podporządkowaniu się większości. Można tę większość krytykować, można chcieć ją zmienić, można podać się do dymisji, ale nie wolno uprawiać strajku włoskiego, to znaczy zajmować stanowisko i hamować pracę.

Jeżeli komuś nie podoba się z jakichś względów, powiedzmy, polityka Komisji Głównej Skarbu, to może albo starać się wpłynąć na zmianę stanowiska tej Komisji albo oddać swoje stanowisko w Skarbie komuś, kto nie ma zastrzeżeń wobec Komisji Głównej. W żadnym razie nie może ani wstrzymywać czy nawet osłabiać tempa pracy, ani też zatrzymywać pieniędzy skarbowych. Dotyczy to zarówno poszczególnego działacza Skarbu jak i komisji krajowych.

Zasada oparcia władz Skarbu Narodowego o wybory jest przyjęta. Wprowadzenie jej w życie, jeśli nie ma być komedią, musi iść stopniowo, porządnie, od dołu. W żadnym jednak wypadku i nigdy nie będzie ta zasada oznaczała parcelacji Skarbu Narodowego. Nie może się on przekształcić w szereg niezawisłych sejmików, z których każdy by uchwalał, jak rozporządzić środkami materialnymi i jak prowadzić działalność polską w świecie. Wówczas bowiem straciłby sens istnienia. Dla miejscowych potrzeb społecznych są zjednoczenia i stowarzyszenia społeczne. Skarb jest dla gromadzenia środków na politykę polską, jedną w całym świecie, prowadzoną przez jeden ośrodek.

Ośrodkiem takim jest Rada Jedności Narodowej z Radą Trzech i Egzekutywą Zjednoczenia. Celem Aktu Zjednoczenia było nie tylko zjednoczenie polskich stronnictw, ale i zjednoczenie polskich ośrodków we wszystkich krajach dla skutecznej walki o sprawę polską. Tej walce i, tylko tej służyć ma Skarb Narodowy.

Polityka polska w świecie albo będzie polityką Zjednoczonych Polaków i wtedy będzie miała wagę, albo będzie polityką rozparcelowanych ośrodków polskich, polityką grupy mieszkańców Peru czy Norwegii polskiego pochodzenia, a z tą świat liczyć się nie będzie.

Wojciech Wasiutyński

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Misje katolickie. Na Niedzielę Misyjną (23 października) agencja misyjna FIDES podała przegląd misyj za ostatnich 12 miesięcy, tzn. od zeszłorocznej Niedzieli Misyjnej. Agencja stwierdza przede wszystkim, że działalność misyjna napotyka na trzy główne przeszkody: komunizm, wybujały nacjonalizm i laicyzm.

W ciągu pięciu lat komuniści chińscy wypędzili 79 biskupów, 3.000 kapłanów, 2.000 zakonnic i 500 braci zakonnych, wszystkich z innych narodowości poza chińską, tak, że z misjonarzy obcych narodowości pozostawało 14 czerwca 1955 zaledwie 31 księży, 16 zakonnic i 1 brat zakonny. Obecnie na 600 milionów Chińczyków mała mniejszość 3.250.000 katolików cierpi prześladowanie, które wśród swych metod stosuje próbę rozbicia Kościoła w Chinach od wewnątrz, stwarzając m. in. „niezależny" kościół chiński i rozbijając organizacje katolickie. Oczywiście są straty, ale ogólnie biorąc, katolicy pod kierownictwem swych 25 biskupów trwają heroicznie przy swej wierze.

Wypędzeni z Chin misjonarze, o ile są po przeżytych cierpieniach zdolni do pracy misyjnej, pracują wśród Chińczyków na Formozie, w Hong-Kongu i wśród 12 milionów Chińczyków rozproszonych po wielu innych krajach.

Komunizm opanował także inny kraj misyjny: Vietnam północny, czego, jak o tym w ŻYCIU kilkakrotnie pisaliśmy, następstwem stał się nie mający chyba równego sobie w dziejach Exodus 800 tysięcy mieszkańców, w tym 80% katolików. W wielu krajach, jak w Anglii, na Filipinach, we Francji, w Holandii, Niemczech, Stanach Zjednoczonych, potworzyły się komitety pomocy uciekinierom, wysyłające nie tylko środki żywności, odzież i lekarstwa, ale także pomoc techniczną i inną. Wojsko francuskie zbudowało drogi i dostarczyło środków lokomocji; „Figaro", paryskie zebrało 35 milionów franków na szkoły, a dzieci ze szkół francuskich ofiarowały swoje kubki srebrne, by można było przerobić je na kielichy do Mszy św.; National Catholic Welfare Conference w Stanach Zjednoczonych wysłało swój personel do rozdziału żywności, odzieży i lekarstw.

Drugą, poza komunizmem, wielką przeszkodą dla pracy misyjnej okazał się wybujały nacjonalizm. W Indiach rząd ogłosił dekret ograniczający przyjazd misjonarzy obcych narodowości, co wywołuje nawet wśród Hindusów oburzenie i spowodowało protest Stałej Komisji Konferencji Episkopatu Indyj z kardynałem Graciasem na czele. Restrykcje w stosunku do misjonarzy obcych narodowości wprowadzają także Birmania, Indonezja i Ceylon.

Trzecią przeszkodą w rozwoju misyj jest laicyzm. W niektórych krajach katolickich, jak w Belgii i Bawarii, rozpętano kampanię przeciwko szkołom katolickim lub prowadzi się przeciw nim podjazdową kampanię pod hasłem, że tylko państwo ma prawo i obowiązek wychowania młodzieży. W Unii Południowo-Afrykańskiej nie przyznaje się już zasiłków na nauczanie prywatne i dlatego tamtejszy Episkopat wziął na siebie ciężar utrzymania szkolnictwa katolickiego. Walka przeciw szkołom katolickim przybrała ostrą formę w Kongo Belg., gdzie władze dążą do zakładania szkół laickich i cofnięcia zasiłków dla szkół misyjnych.

Potrzeby misyj katolickich. Najbardziej palącą potrzebą misyj katolickich jest pomnożenie szeregów duchowieństwa rodzimego, a to ze względu na trudności w różnych krajach stawiane misjonarzom obcych narodowości. Papieskie Dzieło Św. Piotra Apostoła, którego celem jest zbieranie pieniędzy dla budowania nowych seminariów i kształcenia duchowieństwa rodzimego, rozdzieliło w ostatnich 12 miesiącach sumę 3.200.000 dolarów, co jednak nie zaspokoiło wszystkich potrzeb: konieczna byłaby suma 5 milionów dolarów. Obecnie do kapłaństwa przygotowuje się 2.727 studentów filozofii i teologii, którzy mają zasilić szeregi duchowieństwa rodzimego. Od stycznia roku bieżącego zastępy Episkopatu rodzimego wzrosły o nowych 12 biskupów autochtonów: 1 dla Birmanii, 5 dla Indyj, 1 dla Japonii, 1 dla Kamerunu, 1 dla Korei, 2 dla półwyspu Malakka, 1 dla Sudanu. W ten sposób liczba Episkopatu rodzimego wynosi obecnie 96.

Papieskie Dzieło Rozkrzewiania Wiary, według raportu opublikowanego w kwietniu, rozdzieliło w ciągu roku na cele misyjne ponad 12 milionów dolarów, przy czym ofiary wzrosły o 800 tysięcy dolarów w porównaniu z rokiem poprzednim.

Potrzeba wykształcenia duchowieństwa rodzimego występuje z tym większą wyrazistością, gdy zważy się, że w Azji w ciągu roku liczba katolików wzrosła o 240 tysięcy, podczas gdy księży nowych przybyło zaledwie 677, a w Afryce na wzrost katolików o 831 tysięcy liczba duchowieństwa wzrosła zaledwie o 448 księży.

Obowiązki katolików wobec misyj. Przedstawiwszy stan misyj za czas ostatnich 12 miesięcy agencja FIDES podkreśla obowiązek zasilania pieniężnego Papieskiego Dzieła Św. Piotra Apostoła dla wykształcenia duchowieństwa rodzimego i Papieskiego Dzieła Rozkrzewiania Wiary, jako też i szeroko omawia obowiązek modlitwy do Matki Boskiej na intencję misyj, a tym samym łączenia się duchowego z misyjnymi krajami, w których w ostatnich czasach coraz bardziej wzrasta nabożeństwo do Królowej Pokoju.

ŻYCIE KRAJU

DODATEK MIESIĘCZNY „ŻYCIA"

PAŹDZIERNIK 1955

GLOSSATOR

ECHA FESTIWALU

Prasę krajową z sierpnia zapełniają artykuły, felietony i reportaże na temat festiwalu młodzieży zorganizowanego w pierwszej połowie tego miesiąca pod egidą dwóch komunistycznych organizacji: Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej i Międzynarodowego Związku Studentów. W festiwalu uczestniczyła — według tejże prasy — młodzież z przeszło 100 krajów, reprezentowana przez liczne delegacje przybyłe ze wszystkich kontynentów. Impreza była zakrojona na wielką skalę, a cel jej określono jako propagandę pokoju i przyjaźni między narodami.

Reportaże prasowe, nastrojone w pierwszych dniach festiwalu na wysoki ton urzędowego entuzjazmu, obniżają nieco ten ton w refleksjach pofestiwalowych i dają szereg obrazków odsłaniających wrażenia cudzoziemców, stosunek do nich ludności, niedomagania imprezy, psychikę i obyczaje młodego pokolenia Polski „ludowej". Nie są one wolne od propagandowych tendencji, rzucają jednak tu i ówdzie promień światła na życie stolicy, a w pewnej mierze i kraju.

WĄTPLIWI KATOLICY

Prasa zaprzecza kategorycznie, aby w festiwalu uczestniczyła wyłącznie młodzież komunistyczna. O ile można sądzić z opisów wrażeń młodzieży cudzoziemskiej, reprezentowała ona istotnie nie tylko organizacje komunistyczne, lecz także i komunizujące i radykalne różnych odcieni. Byli wśród niej też katolicy o tzw. postępowym zabarwieniu, przybyli przeważnie z Francji. Urządzono dla nich w Akademii Teologicznej na Bielanach wystawę pt. „Dziesięć lat Kościoła katolickiego w Polsce" oraz zebranie dyskusyjne, które zagaił J. Dobraczyński. W dyskusji, jak informuje „Tygodnik Powszechny", poruszano sprawę „realności i trwałości koegzystencji różnych światopoglądów i ustrojów", przy czym katolicy włoscy i francuscy nie szczędzili słów oburzenia „pod adresem tych, którzy fałszywie przedstawiali im pewne sprawy katolicyzmu w Polsce" oraz wyrazów uznania „dla tych katolików w Polsce Ludowej, którzy podjęli się trudnej i odpowiedzialnej pracy wykazania na własnym przykładzie, że światopogląd katolicki pomaga i zobowiązuje do wprowadzenia w życie zasad sprawiedliwości społecznej w nowym ustroju". Katolicy polscy „skorzystali dużo z tych rozmów, przede wszystkim zaś zrozumieli, że w swej walce o postępową funkcję społeczną katolicyzmu nie są osamotnieni". Katolicyzm więc tej goszczonej na Bielanach młodzieży był dość wątpliwej natury.

Jeżeli wierzyć reportażom, prasa na Zachodzie dość dziwnie informuje swych czytelników o położeniu religii i Kościoła w Polsce. Nikt z uczestników festiwalu nie pytał o losy Prymasa Wyszyńskiego ani więzionych księży i biskupów, za to, jak podaje „Tygodnik Demokratyczny", dwaj studenci uniwersytetu w Oksfordzie wyrazili zdziwienie, że kościoły w Polsce są otwarte i ludzie w nich się modlą. Byli poinformowani, „że religia jest zwalczana przez rząd, a kościoły są jedynie makietami, po prostu zabytkami architektury". Bardzo się wstydzili „wiary w fałsz tej propagandy".

WRAŻENIA ANGLIKÓW

Doniosłość festiwalu polegała na tym — oświadcza zgodnym chórem prasa krajowa — że jego uczestnicy poznali prawdę o Polsce. Była to prawda podana przez pryzmat propagandy, coś nie coś przeniknęło jednak spoza zwartych szeregów agitatorów do świadomości festiwalowej młodzieży; zdarzały się nieporozumienia i rozczarowania. Para angielska Belle Harris i Stanley Silver wybrała się, pod opieką aktywisty, na zwiedzenie polskiej „country". Przyjmowano ich niezmiernie gościnnie i na każdym kroku częstowano wódką, ale kontroler kolejowy we Włocławku chciał im „wlepić mandat za jazdę bez biletu" (mieli prawo do bezpłatnego przejazdu) i ustąpił dopiero wtedy, gdy „tłum pasażerów z kierowcą i konduktorką na czele dobrał się nieposkromionymi językami do jego genealogii". Gdy chcieli zostawić swój bagaż na dworcu, zażądano od nich okazania paszportów i otwarcia walizek. Pozwolono im na zwiedzenie włocławskiej „Celulozy", lecz nieprzyjemnie ich uderzyli uzbrojeni wartownicy przed bramami fabryki. Zwiedzili wreszcie pobliski PGR i Belle była zawiedziona. Myślała, że „w socjalistycznym gospodarstwie wszyscy pracują z piosenką i uśmiechem na ustach", nie dostrzegła zaś uśmiechów i nie usłyszała piosenek. Opinia Anglika o socjalistycznej gospodarce? „Wydaje mi się — oświadczył — że niskie zarobki urzędników wynikają u was z niezwykle rozbudowanej biurokracji... Odnoszę wrażenie, że na jednego wykonawcę przypada u was trzech kierowników. Bardzo dużo ludzi znajduje się na marginesie produkcji i obciąża wasz budżet". Mr. Silver rozumie może potrzeby produkcji, ale nie rozumie istoty komunistycznej ekonomiki.

KATOLICYZM I SUWERENNOŚĆ

Mniej krytyczna była delegacja francuska, w której skład, według „Życia Warszawy", wchodziło 80% młodzieży niekomunistycznej. Kierownik delegacji, p. Perillaud, opowiadał, że nie bardzo był pewny, czy Polska jest krajem suwerennym i niepodległym. Wielu młodych Francuzów jechało w przekonaniu, że „natkną się co najmniej na garnizony radzieckie", niektórzy sądzili, że „komuniści zechcą wszystkich nawracać na swoją wiarę". Młodzież francuska udająca się do Polski, nie wiedziała nawet, że jest to kraj katolicki. „Byli katolicy, którzy się obawiali, że nie spotkają katolika."

Ale — pisze „Życie Warszawy" — najlepszą bronią są fakty. „Mit o rzekomo niesuwerennym państwie runął jak długi... Druga wątpliwość również prysła w rezultacie licznych spotkań, jakie mieli... katolicy francuscy z katolikami polskimi". Pismo nie wyjaśnia, jakiego rodzaju fakty przekonały Francuzów o suwerenności państwa polskiego. Jeden z członków wycieczki, zaproszony na obiad do domu polskiego inżyniera, spotkał tam „starszego jegomościa, który... zaczął mówić dużo nieprzyjemnych dla was rzeczy. Że Polska straszliwie cierpi, że komuniści gnębią kraj... że Polska nie jest wolnym krajem". Bystry Francuz znalazł się w kropce, odpowiedziawszy: „Przecież opowiada pan tak swobodnie rzeczy nieprzychylne dla ustroju. Czyżby więc naprawdę tak źle było z tą wolnością?"

Francuzi byli oszołomieni tempem rozwoju przemysłowego Polski, nie podobało im się wszakże niezdyscyplinowanie warszawiaków. Zauważyli, że kierowcy samochodów i przechodnie nie przestrzegają przepisów ruchu, w tramwajach wielu ludzi „wymiguje się od płacenia za bilety", a robotnicy na budowach „niezbyt przykładają się do pracy". Nie podobała im się też architektura miasta, brak neonów i złe oświetlenie ulic. Były to, jak się zdaje, jedyne obserwacje bezpośrednie, na które nie mogła mieć wpływu propaganda.

KRYTYCYZM I BŁĘDY

Krytyczni byli Belgowie. Młody Belg oświadczył aktywistce „Trybuny Ludu", że mu się Polska zdecydowanie nie podoba. Ceny są wysokie a zarobki niskie, położenie robotnika w Belgii jest lepsze. Gdy aktywistka usiłowała go przekonać, że co do cen i zarobków jest w błędzie, i że Belgia zawdzięcza swój dobrobyt nieludzkiej eksploatacji Konga, przysiadła się do nich kobieta, „doskonale ubrana, inteligentna" i wdała się w rozmowę. „Mówiła zupełnie coś innego niż ja — opowiada aktywistka — i podawała inne fakty". Opowiadanie to brzmi nieco niewiarogodnie, gdyby jednak było prawdziwe, świadczyłoby o próbach walki z zakłamaniem oficjalnej propagandy podejmowanych indywidualnie, lecz z niewątpliwą odwagą.

Propaganda popełniała zresztą — zdaniem „Trybuny Ludu" — zasadnicze błędy. Porównywano w dyskusjach ceny w Polsce z cenami w innych krajach i porównania, wskutek niewyrobienia taktycznego aktywistów, wypadały dla Polski niekorzystnie. Agitatorzy zapominali przekonywać młodzież cudzoziemską, że tak czy inaczej „nowe powstaje u nas, przyszłość należy do nas." Pewien Szwajcar pytał polskiego studenta, dlaczego we Francji ukazuje się prasa komunistyczna, a w Polsce nie ma gazet opozycyjnych. Dostał odpowiedź, że w Polsce zlikwidowano klasę fabrykantów i że gazety takie „ nie miałyby bazy społecznej". Szwajcar zapytał wówczas, czy nie ma w Polsce ludzi, „których poglądy odbiegają od stanowiska naszych gazet"; student wyjaśnił mu, że jest ich bardzo mało. Szwajcar nie uwierzył i — oświadcza politruk „Trybuny" — miał rację. Należało mu powiedzieć, że ustrój Polski jest dyktaturą proletariatu, nie uznającą opozycji. „Nikt nie może od nas wymagać, abyśmy byli tak głupi, by dobrowolnie ułatwiać burżuazji jej wrogą robotę". Politruk nie bierze pod uwagę, że Szwajcar mógłby wówczas zwątpić w ludową demokrację.

Na wieczorze pytań w siedzibie delegacji południowo - afrykańskiej przedstawiciel „naszych związków zawodowych nie chciał się zgodzić na to, by mówić o naszych trudnościach gospodarczych i ich przyczynach". Gdy pewien młody lekarz angielski oświadczył, że jest przeciwnikiem komunizmu, ale chciałby wiedzieć, dlaczego „wysuwamy hasło współistnienia", tłumacz zaczął go z miejsca przekonywać do komunizmu. Niezręczności propagandowych tego rodzaju popełniono wiele. Czy można się dziwić agitatorom? Wszak tzw. „trudne" pytania stawiają ich nieraz wobec zadań równoznacznych z kwadraturą koła.

ORGANIZACJA

Nie całkiem też dopisała strona organizacyjna festiwalu. Komunistyczny pisarz angielski mieszkający w Warszawie, G. Bidwell, skarży się w „Życiu Warszawy" na bałagan panujący na festiwalu, który „wywołał u delegacji brytyjskiej niedwuznacznie ujemne wrażenie". Artyści musieli nieraz czekać po 6 godzin na występ, niektórym z nich opóźniono wyjazd z Warszawy i uniemożliwiono w ten sposób stawienie się w terminie na występy w Anglii. „Expres Wieczorny" informuje, że prasę traktowano niechętnie, czyniono jej tysiączne trudności, a nawet „bywały wypadki, że dziennikarzy brutalnie wyrzucano z sali". Wymowną ilustracją bałaganu jest opis w „Przeglądzie Kulturalnym" pokazu tańców i folkloru meksykańskiego w parku ujazdowskim. „Polskie Radio nie stanęło na wysokości zadania, muzyka transmitowana z wozu rwała się co chwila. Artyści zaczynali numery po trzy razy. W końcu radiowcy zawiedli już zupełnie, tancerze musieli przerwać program. I wówczas publiczność wydała straszny ryk, wokół estrady zakotłowało się. A że dziewczęta meksykańskie popłakiwały dosłownie na oczach widzów, więc tłum z miejsca podzielił się na dwie części. Jedni podrzucali do góry Rosaurę Revueltas wiwatując — drudzy konsekwentnie obrzucali obelgami wóz Polskiego Radia, w którym przy wygaszonych światłach zamknęli się radiowcy. Jakiś zrozpaczony do ostateczności i wściekły widz dał wyraz swej absolutnej pogardzie w krótkim okrzyku: „Do Pegieeru!" Trzeba było widzieć jak publika — za organizatorów — przepraszała artystów Meksyku."

Na imprezach artystycznych panował tłok, dostęp na nie był niezmiernie trudny i połączony z przykrościami. Nie wiadomo, w jakiej mierze festiwal się odbił na zaopatrzeniu Warszawy w żywność, dał się jednak odczuć dotkliwie w dziedzinie komunikacji. „Głos Pracy" opisuje dantejskie sceny na warszawskim dworcu śródmiejskim. „Pociągi odchodzące i przychodzące przedstawiały... straszliwy widok: zewnętrznych ścian pociągu nie było widać spod ciał ludzkich, wiszących na drzwiach, oknach, buforach i wszelkich wystających częściach karoserii i instalacji, w pozycjach grożących w każdej chwili masowym wypadkiem. Pobladła z przerażenia dyżurna ruchu nie mogła opanować sytuacji nawet przy pomocy milicjanta, puszczała więc pociągi w stanie nie nadającym się do drogi, pociągi obwieszone ludźmi..." Ludzie w Polsce są cierpliwi.

MŁODZIEŻ

„Młodzież nasza — pisze „Trybuna Ludu" — zdołała już wyrobić sobie opinię trudnej do rozruszania... jest skrępowana, za mało uśmiechnięta, za mało tańcząca, za mało śpiewająca". „Dlaczego nie umiemy się bawić?" — pyta „Sztandar Młodych", opisując scenę wymuszonej rozmowy grupy młodzieży z delegacją brazylijską na dworcu krakowskim. Pokolenie wychowane w szkole marksizmu nie ma w sobie radości życia.

Dużo inicjatywy w stosunku do gości wykazywały jednak warszawianki, choć była to inicjatywa swoista, w której rolę największą odgrywały momenty erotyczne. Odmienność płci bardziej sprzyjała zbliżeniu młodzieży niż wspólność ideologiczna. Wielką popularnością cieszył się taniec pn. „Perenica" przywieziony przez Rumunów. Polegał on na zarzucaniu przez tancerza lub tancerkę jednemu z widzów chustki na szyję, wyprowadzeniu go (jej) na środek koła i całowaniu. Powodzenie u warszawianek w tym tańcu mieli podobno Hindusi i Murzyni, zapewne ze względu na egzotyczność wrażeń.

„Życie Warszawy" przeczy wprawdzie plotkom, że „na wszystkich ławkach, ścieżkach, na schodach Pałacu Kultury... wszędzie pełno było par w niedwuznacznych pozach... Podobnego zgorszenia publicznego Warszawa jeszcze nie widziała", lecz świadkowie festiwalu potwierdzają te plotki. Wydaje się, że ustrój demokracji ludowej odciął ludzi od wszelkich swobód z wyjątkiem jednej: swobody rozwiązłości.

Ujemne wrażenie na obcych uczynił też produkt uboczny kultury sowieckiej — zdziczenie obyczajów, awantury w tramwajach, restauracjach i miejscach publicznych, gburowatość obsługi, biurokratyzm czynników urzędowych. Wszystko to zostało podobno na okres zjazdu stonowane, lecz wrzaski w rodzaju: „czego się pani pchasz? Na głowę komu wejdę? — raziły flegmatycznych Anglików i systematycznych Szwajcarów.

BILANS

Jak można oceniać ostateczny bilans festiwalu? Był on barwnym widowiskiem urozmaicającym szarość codziennego życia stolicy. Przyniósł reżymowi pewne korzyści propagandowe, niewiele się wszakże przyczynił do poznania przez obcych polskiej rzeczywistości. Pomiędzy uczestnikami festiwalu a prawdą o Polsce stał mur agitatorów, mających względną łatwość działania wśród młodzieży podatnej ideowo, źle poinformowanej i często naiwnej. Czasem tylko prześwietlał szczeliny muru błysk prawdziwego życia kraju. Przynosił wtedy najczęściej rozczarowanie krajem „budowy socjalizmu".

Glossator

DOKTRYNA I FAKTY

Problemy produkcji rolnej

Obrady IV plenum KC PZPR były poświęcone, jak informuje prasa krajowa, sprawie podniesienia produkcji rolnej w najbliższym pięcioleciu. Tekstów uchwał nie ogłoszono, wywołały one jednak w całej prasie obszerną dyskusję, w której odżyły stare, lecz wciąż nierozwiązalne zagadnienia. „Mamy poważne osiągnięcia w produkcji przemysłowej — stwierdza „Życie Warszawy". — Pod koniec bieżącego roku będziemy wytwarzać w przeliczeniu na jednego mieszkańca prawie sześć razy więcej niż przed wojną. Natomiast podobne przeliczenie w odniesieniu do produkcji rolnej wskazuje wzrost o 10%." Wynikiem jest brak mięsa w wielu rejonach Polski i, pomimo importu poważnych ilości zboża, „zakłócenia w zaopatrzeniu w chleb wsi i mniejszych miast".

Co się projektuje, aby zaradzić tym brakom? Przede wszystkim podniesienie plonów czterech zbóż o 2q z ha w stosunku do przeciętnych zbiorów w r. 1954, tj. do 14,4 q z hektara. Obecna powierzchnia zasiewów wynosi 8,8 mln. hektarów; zwiększenie plonów o 2 kwintale z hektara oznaczałoby wzrost zbiorów o przeszło 1,7 mln. ton zboża, co byłoby wzrostem pokaźnym. Niezależnie od tego — oświadcza pismo — trzeba rozszerzyć powierzchnię zasiewów, która jest obecnie o milion ha mniejsza niż przed wojną, zlikwidować odłogi i zmniejszyć liczbę ugorów. Tym przedsięwzięciom musi towarzyszyć podniesienie hodowli.

KOLEKTYWY

W jaki sposób projekty te mają być wykonane? „Trybuna Ludu" poświęca temu zagadnieniu kilka obszernych artykułów. Należy — oświadcza pismo — stosować szeroko mechanizację rolnictwa oraz zasady nowoczesnej agrotechniki i zootechniki, a to jest możliwe jedynie w wielkich gospodarstwach rolnych. Stąd prosty wniosek, że trzeba rozwijać spółdzielczość produkcyjną. W Polsce jest obecnie około 10.000 spółdzielni produkcyjnych, zrzeszających prawie 200.000 rodzin chłopskich na 1.800.000 ha gruntów. Wynosi to wszakże tylko 6% ogólnej liczby gospodarstw chłopskich. Dlaczego kolektywizacja idzie tak opornie, a wiele istniejących spółdzielni wykazuje słabość gospodarczą i organizacyjną? Pismo rozwodzi się szeroko nad przyczynami tego stanu rzeczy, a najważniejszą z nich upatruje w wadliwości pracy partyjno - politycznej na wsi. Wieś polska liczy około 400.000 członków partii i kandydatów, w tym jednak chłopów jest tylko 180.000. Nie tylko ta liczba jest niezadowalająca, ale i postawa polityczna chłopów-członków partii rażąco wykracza przeciw kanonom socjalizmu: wielu z nich jest zasadniczymi przeciwnikami spółdzielczości produkcyjnej. Propagandę tej spółdzielczości prowadzi się nieumiejętnie, forsuje się np. za wszelką cenę spółdzielnie najwyższego typu, co zniechęca chłopów. Organizacje partyjne na wsi są zbiurokratyzowane i niedostatecznie wsłuchują się w „głos wsi pracującej". Członkom spółdzielni brak należytego kierownictwa. Wielu z nich po przystąpieniu do spółdzielni odcina się od chłopów indywidualnych tworząc jakby zamknięte, uprzywilejowane klany. Obrazu dopełniają spółdzielcy pielęgnujący wyłącznie swe działki przyzagrodowe a zaniedbujący pola spółdzielcze. Wszystko to — oświadcza pismo — musi się zmienić. „Chcemy i musimy tworzyć nowe spółdzielnie produkcyjne, zwłaszcza w tych częściach kraju, gdzie spółdzielni jest dotąd mało — na wschodzie i na południu... Nowe spółdzielnie powinny być jednak żywotne i zdolne do rozwoju".

GOSPODARSTWA INDYWIDUALNE

„Trybuna" zdaje sobie jednak sprawę, że proces socjalizacji gospodarki chłopskiej potrwa jeszcze lata, a tymczasem trzeba się liczyć z faktem, że przeważającą formą gospodarki na wsi jest gospodarka indywidualna. Choć możliwości produkcyjne gospodarstw indywidualnych są mniejsze niż gospodarstw spółdzielczych, są one jeszcze bardzo duże i należy je wyzyskać. Dwie drogi prowadzą do tego celu: stworzenie bodźców ekonomicznych dla chłopów indywidualnych i mechanizacja ich gospodarstw.

Bodźce ekonomiczne przewidział już zeszłoroczny zjazd partii: polegają one na obietnicy, że wysokość dostaw obowiązkowych w latach 1954-1955 zostanie niezmieniona, co pozwala chłopom na dowolne rozporządzanie całym przyrostem produkcji. Chłop, który wytworzył więcej niż w latach poprzednich, może sprzedać nadwyżki w drodze tzw. kontraktacji lub na wolnym rynku. IV plenum wypowiedziało się za utrzymaniem tej zasady na lata następne.

W dziedzinie mechanizacji jest dużo jeszcze do zrobienia. Wiele gospodarstw chłopskich stosuje nadal prymitywne metody uprawy, trzeba im zapewnić pomoc maszyn rolniczych, dać im do dyspozycji traktory, siewniki i kombajny. Maszyny te muszą oczywiście pozostać w ręku państwa, tzn. w ręku POM-ów i GOM-ów i będą wynajmowane chłopom za opłatą. „Trybuna" nie dodaje, że odpowiednie wyśrubowanie opłat pozwoli państwu powetować sobie straty z tytułu niezmienionej wysokości obowiązkowych dostaw, osłabia jednak tę możliwość przez stwierdzenie, że mniejsze maszyny chłopi będą mogli nabywać na własność.

KTO JEST KUŁAKIEM?

Gdy mowa o gospodarce indywidualnej, powstaje kłopotliwy problem „kułaka". Kułak jest wrogiem ustroju, wyzyskującym masy ludowe i rozsadnikiem reakcyjnej propagandy, lecz jednocześnie najwydatniejszym dostawcą na rynek produktów rolnych. Skoro się chce podnieść produkcję rolną, nie można niszczyć kułaków, choć z drugiej strony traktowanie ich na równi z chłopstwem pracującym sprzeciwiałoby się zasadom socjalizmu. Jak wybrnąć z kłopotu? „Trybuna" stara się przede wszystkim ograniczyć pojęcie „kułaka". Dotychczas panował pogląd, że kułakiem jest ten, kto korzysta z pracy najemnej, lecz pismo uważa to kryterium za chybione. Doświadczenie wskazuje, że w okresach gorących robót w polu pracą najemną posługują się też średniacy. Nie może też decydować liczba posiadanych hektarów, pogłowia bydła i trzody; błędne jest założenie, że każdy gospodarz, któremu dobrze się powodzi, jest kułakiem. Co więc charakteryzuje kułaka? Fakt, że żyje on nie z pracy rąk własnych, lecz z wyzysku innych. Jak to ustalić? Trzeba zapytać o zdanie chłopów pracujących, zwłaszcza biedotę wiejską. Jest to — oświadcza pismo — „jedyna droga do uniknięcia fałszywego mieszania części średniaków z kułakami". Innymi słowy, nadanie chłopu miana „kułaka" zależy od swobodnego uznania lokalnej organizacji partyjnej, co pozwala na elastyczność i bardzo upraszcza zagadnienie.

Po tych nieco mętnych wywodach „Trybuna" stwierdza, że kułaka należy izolować politycznie od chłopstwa pracującego, nie wolno wszakże rujnować jego gospodarstwa. „Wszelkie próby likwidowania kułaków jako klasy są szkodliwe... Nie leży w naszym interesie upadek produkcji w gospodarstwach kułackich". Osłabienie tych gospodarstw byłoby „prostacką wulgaryzacją wypaczającą ideologię i politykę naszej partii". Kułakowi można nawet, „na określonych specjalnych warunkach", udostępnić maszyny rolnicze lub dostarczyć innej pomocy. W ten sposób, według „Trybuny", wilk będzie syty i koza cała.

DAWNE SPORY

Wszystko to jest odświeżeniem znanych już sporów i nieporozumień partyjnych. Doktryna uczy, że kolektywizacja gospodarstw chłopskich jest koniecznością „budowy socjalizmu" i warunkiem podniesienia produkcji rolnej; życie mówi inaczej. Na pomoc doktrynie przywołuje się tendencyjną statystykę. „Trybuna" oświadcza, że „tysiące naszych spółdzielni mają wysokie, znacznie wyższe aniżeli ich indywidualni sąsiedzi, plony z hektara", unika jednak dyskretnie cyfr porównawczych, czasopismo natomiast „Chłopska Droga" przyznaje skromnie, że „nie wszystkie jeszcze spółdzielnie dowodzą wyższości gospodarki zespołowej nad indywidualną... niektóre spółdzielnie mają mniejsze plony niż chłopi gospodarujący indywidualnie". W celu udowodnienia wyższości spółdzielczej hodowli, „Trybuna" zestawia pogłowie trzody chlewnej w 2 tysiącach najstarszych spółdzielni z pogłowiem w całej gospodarce chłopskiej i stwierdza, że w tych spółdzielniach pogłowie to jest o 5,5% wyższe. Ta sama „Trybuna" oświadcza na innym miejscu, że „w wielu spółdzielniach do dziś dnia stan hodowli zespołowej jest bardzo słaby".

BIUROKRATYZACJA

Teoretyczna wyższość wielkich zmechanizowanych gospodarstw nad małymi, których mechanizacja na szerszą skalę nie jest możliwa, mogłaby się wydawać niesporna. Dlaczego tak nie jest w systemie sowieckim, wyjaśniają w pewnej mierze wrażenia zespołu rolników amerykańskich z wizyty w Rosji, zamieszczone w tygodniku „U. S. News and World Report". „W typowym kolektywie — mówi rzeczoznawca amerykański — musi być przewodniczący, wiceprzewodniczący, dwóch lub trzech buchalterów, kilku kierowników brygad oraz traktorzystów, agronomów i weterynarzy... Gdyby ci wszyscy kontrolerzy zaczęli pracować na sposób amerykański, mogliby niemal prowadzić sami całe gospodarstwo... Ich fetyszem są wielkie maszyny, czasami tak wielkie i niezwrotne, że stają się niepraktyczne... Jest rzecz ciekawa w rolnictwie rosyjskim. Twierdzą, że zmechanizowali 95 do 98% różnych operacji rolnych, ale stale trzymają tę samą ilość robotników... Nie zastąpili człowieka przez maszynę..."

Polska nie doszła jeszcze do doskonałości sowieckiego systemu wielkich kolektywów rolnych, lecz, rebus sic stantibus, stanie prędzej czy później wobec tych samych zagadnień biurokratyzacji rolnictwa i mechanizacji nie zwiększającej wydajności. Już obecnie tworzy się gospodarstwa wielkoobszarowe, np. zespół PGR Lipowina w woj. olsztyńskim gospodarujący (nieudolnie) na 12 tysiącach hektarów.

WĄTPLIWY KOMPROMIS

Przewaga gospodarki indywidualnej dyktuje partii konieczność liczenia się z jej potrzebami. Radykalne elementy partyjne są temu przeciwne, twierdząc nie bez słuszności, że popieranie chłopów indywidualnych hamuje rozwój kolektywizacji. Wynikiem sporu jest kompromis: pomagać chłopu, ale nie za wiele, gdyż chłop, który ma się dobrze, nie przystąpi do spółdzielni. Stąd obietnice dostarczania maszyn tylekroć niedotrzymywane i „bodźce ekonomiczne", których wątpliwą wartość niweluje złe zaopatrzenie wsi w przedmioty pierwszej potrzeby. Spółdzielnie gminne (GS) — utyskuje „Trybuna Ludu" — nie stoją na wysokości zadania. Chłop, nawet gdy ma pieniądze, nie może nabyć za nie niezbędnych dla siebie rzeczy. Obowiązkowe dostawy szwankują. Rezultat? Planuje się 50% wzrostu produkcji, osiąga zaś... problematyczne 10.

KRONIKA KRAJOWA

MIASTA W POLSCE

W Polsce jest obecnie, według danych Głównego Urzędu Statystycznego, 19 miast liczących powyżej 100 tysięcy ludności. Są to: Warszawa, Łódź, Kraków, Wrocław, Poznań, Gdańsk, Szczecin, Katowice, Bydgoszcz, Bytom, Zabrze, Częstochowa, Chorzów, Gliwice, Lublin, Gdynia, Sosnowiec, Radom i Wałbrzych. Warszawa zbliża się do miliona ludności, Łódź liczy około 670 tysięcy, Kraków z Nową Hutą — ponad 400 tysięcy.

Warunki mieszkaniowe w miastach są nadal ciężkie, lecz, według „Trybuny Ludu", ulegają stopniowej poprawie. W Warszawie wybudowano bądź odbudowano 260 tysięcy izb i w tysiącach domów przeprowadzono remonty. W Gdańsku odbudowano po wojnie 70 tysięcy izb i wybudowano 14 tysięcy nowych. We Wrocławiu wyremontowano ponad 50 tysięcy izb i wybudowano 20 tysięcy. W Łodzi wyremontowano 260 tysięcy izb.

GMACHY PUBLICZNE

Wnętrze niedawno wykończonego tzw. „Pałacu Kultury" zawiera 2.300 pomieszczeń o ogólnej powierzchni 110,3 tysięcy m kw. Wysokość budowli od pierwszej kondygnacji do końca iglicy wynosi 227 m; część wysokościowa zawiera 30 kondygnacji użytkowych. W gmachu kursuje 6 wind szybkobieżnych i kilka zwykłych, dowożących ludzi do różnego rodzaju instytucji naukowych zainstalowanych w części wysokościowej. Liczba audytoriów wynosi 14 większość jest obliczona na 150 osób, jedno — na 550 osób. Jest poza tym na różnych piętrach 12 barów i restauracyj.

Gmach ma więc niewątpliwie wartość użytkową, lecz swą architekturą szpeci miasto o wiele więcej niż pamiętny sobór prawosławny na Placu Saskim.

Nowe budowle nie odznaczają się solidnością. W Filharmonii Warszawskiej, kilka miesięcy temu oddanej do użytku „Expres Wieczorny" dostrzega objawy brakoróbstwa. „W piwnicy z rury, którą biegną kable, tryska strumień wody. Obok rozdzielnia główna. Pod aparaturą, w betonowych wgłębieniach — woda... Wszystkie kable są tu białe, bo po prostu zjada je pleśń..." W czasie koncertu na sali jest bardzo gorąco, ponieważ połowa chłodzonego powietrza pędzonego do sali ucieka po drodze przez nieszczelne przewody... Zaciek „zajmuje prawie całą ścianę salonu muzyków..." Na drugim piętrze inny zaciek w kabinie Zakładu Nagrań Dźwiękowych, gdzie stoją precyzyjne aparaty; trzeba było „w kabinie zerwać podłogę, wybrać spod niej trzy wiadra wody i suszyć ścianę elektrycznymi piecykami". Dachu na Filharmonii „właściwie nie ma", dach tymczasowo założony po pół roku ma dość".

PRZEROSTY W ADMINISTRACJI

„Trybuna Ludu" powraca do sprawy nadmiernego rozrostu personalu administracyjnego w zakładach i przedsiębiorstwach państwowych. Pracownicy administracyjni w tych przedsiębiorstwach stanowią przeciętnie ponad 21 procent ogółu zatrudnionych, a w przemyśle maszynowym — ponad 30%; „Trybuna" podaje przykład zakładu, w którym liczba osób zatrudnionych w administracji wynosi 71% pracowników.

„Nasza administracja państwowa i gospodarcza — stwierdza pismo — jest jeszcze częstokroć niesłychanie rozbudowana, rozdęta. Niejednemu odpowiedzialnemu kierownikowi wydaje się, że o powadze jego placówki świadczy mnogość sekretarek, urzędniczek, referentów, sekcji, oddziałów". Różne urzędy pełnią nieraz te same czynności, a wszystkie je przytłacza nadmierna ilość biurokratycznej bibuły, kwestionariuszy, sprawozdań i statystyk. Co należy czynić, aby usprawnić administrację? „Trybuna" ma na to niezawodne lekarstwo: trzeba wzmóc pracę organizacji partyjnych i związkowych w urzędach i przedsiębiorstwach.

Problem przerostów w administracji komunistycznej omawialiśmy już na łamach ŻYCIA KRAJU. Przerosty te są organicznie związane z charakterem tej administracji, w założeniach swych biurokratycznej.

YOUR OBEDIENT SERVANT

Administracja ludowa odznacza się wszakże nie tylko liczebnością, lecz również swoistym stosunkiem do obywateli. Przykład tego stosunku, wcale nie wyjątkowy, podaje sprawozdawczyni „Życia Warszawy" w opowiadaniu o przygodach grupy pasażerów, złożonej z około 300 osób, oczekującej na dworcu kolejowym w Siedlcach na pociąg do Warszawy. Grupa ta jechała z Nurca i miała się przesiąść w Siedlcach na pociąg warszawski, przybyła jednak do Siedlec już po odejściu tego pociągu; następny miał odejść dopiero następnego dnia rano. Wśród pasażerów, skazanych na długie oczekiwanie na dworcu, powstało zdenerwowanie. Zaczęli atakować dyżurnego ruchu prośbami o wcześniejsze wypuszczenie „torpedy" do Warszawy, lecz dyżurny im wyjaśnił, że jest to sprawa dyspozytora, który, gdyby chciał, mógłby to uczynić. Do rozmowy telefonicznej z dyspozytorem wydelegowano sprawozdawczynię „Życia Warszawy". „W połowie pierwszego zdania, które miało zawierać informację — opowiada ta pani — usłyszałam druzgocące pytanie: — A kto pani właściwie jest i jakim prawem zawraca mi pani głowę?, po czym nie ciekaw widać odpowiedzi rzucił słuchawkę." Po chwili zadzwonił do dyżurnego i mocno go za tę nieroczętą rozmowę obrugał. Dyżurny wił się i tłumaczył, a wreszcie oznajmił pasażerom, że „dyspozytor bardzo zły i nie będzie się tym zajmował".

Powstał wówczas projekt, aby się zwrócić do dyspozytora dyrekcji kolei w Warszawie. Wydelegowano do telefonu znowu autorkę reportażu, która tym razem odniosła sukces: dygnitarz warszawski obiecał porozumieć się z dyspozytorem okręgu. Był to jednak sukces krótkotrwały: wkrótce potem rozległ się telefon do dyżurnego ruchu i jego zastraszone słowa: „Ta pani nie ode mnie dzwoniła. Nie wiem..." „Dyspozytor strasznie zły, że pani dzwoniła do Warszawy" — dodał po odłożeniu słuchawki. Ktoś wysunął projekt wysłania do nieugiętego dyspozytora delegacji, lecz dyżurny był przerażony tym pomysłem. „To niemożliwe, do niego nie wolno. On z państwem nie będzie mówił."

Pasażerowie zaczęli się rozchodzić do miasta, część została na dworcu, lecz wszyscy musieli ostemplować na ranny pociąg bilety. W trakcie stemplowania biletów w pokoju dyżurnego ruchu zjawił się funkcjonariusz komendy kolejowej MO i polecił pasażerom opuścić pokój: stanęli oni posłusznie na peronie i zaczęli wchodzić kolejno z biletami, lecz milicjant nakazał im opuścić peron. Jeden z pasażerów, jak się później okazało, docent uniwersytetu, starał się wytłumaczyć przedstawicielowi milicji, że chce tylko ostemplować bilet i udać się na nocleg do miasta. To pan ostempluje jutro! — krzyczał zdenerwowanym głosem funkcjonariusz. — Rano bilet będzie nieważny — tłumaczył pasażer. — Będzie ważny! — krzyczał funkcjonariusz. — Dobrze — zgodził się pasażer — pójdę i powołam się z rana na pana. Ale proszę pana o numer. — O mój numer? dobrze, pan pozwoli ze mną — powiedział funkcjonariusz tym samym podniesionym tonem. Kiedy wyszli po dziesięciu minutach, funkcjonariusz prowadził pasażera, który tylko zdołał rzucić pozostałym: — Numeru mi nie pokazał, za to zabrał mi dowód i zaaresztował mnie". Ktoś próbował interweniować w obronie docenta, lecz został też aresztowany.

Pozostali postanowili wysłać delegację do naczelnika komendy kolejowej, aby uzyskać nakaz zwolnienia aresztowanych. Delegacja obudziła o drugiej w nocy rozespanego naczelnika, który wysłuchał jej sennie, lecz przyrzekł przyjść na dworzec i sprawę wyjaśnić. Przyszedł istotnie i wyjaśnił, że „rację miał jego funkcjonariusz, a nie mieli jej pasażerowie i aresztowany" oraz że obaj aresztowani „jeszcze posiedzą".

„Życie Warszawy" nie informuje, czy zwierzchnicy naczelnika komendy kolejowej przyznali mu również rację.

PRELEGENCI

Kadra Prelegentów Towarzystwa Wiedzy Powszechnej (TWP) liczy, jak informuje „Przegląd Kulturalny", ponad 3600 osób. Prelegentów tych słucha około 7 milionów ludzi rocznie, dlatego nie jest obojętne, co mówią i jak mówią, jak traktują swoje odczyty i w jaki sposób reagują na pytania audytorium. Sprawa nie wygląda najlepiej. Wśród prelegentów większość stanowią nauczyciele traktujący swe prelekcje jako dodatkową pracę zarobkową i nie przejmujący się zbytnio zadaniem „walki o światopogląd marksistowski w najszerszych masach". Skutki są opłakane. „Wracając raz po kolegę do sąsiedniej wsi — opowiada autor artykułu — stanąłem przed drzwiami sali odczytowej głęboko zaniepokojony. Głos prelegenta brzmiał jak w pustej beczce, przy czym odczytywał on swój referat z szybkością karabinu maszynowego, połykał całe słowa, nie zważał na interpunkcje: była to jakaś bezmyślna galopada, z której słuchacz nie był w stanie wyłowić ani jednego zdania z sensem. ...Gdy otworzyłem drzwi: prelegent stał wprawdzie za katedrą, ale w sali nie było żywego ducha, wyjąwszy sołtysa drzemiącego w kącie. Na każdy głośniejszy okrzyk z trybuny sołtys otwierał oko, kiwał poważnie głową i znowu zasypiał". Po skończonym odczycie prelegent obudził z trudem przedstawiciela władzy, „podsunął mu delegację i otrzymawszy żądaną pieczęć pośpieszył do samochodu. Sumienie miał czyste, spełnił swój obowiązek".

Prelegent, o którym mowa, należał istotnie do obowiązkowych, gdyż wielu innych poprzestaje na uzyskaniu pieczątki, nie wygłaszając w ogóle odczytu. Bywają jednak wypadki, gdy audytorium jest liczne, a po odczycie „podnosi się las rąk i prelegent wyczuwa z miejsca, że ma do czynienia z zorganizowaną akcją zmierzającą do ośmieszenia go, do zbicia z tonu... W jednej ze wsi kieleckich tekst odczytu trafiał jakimiś drogami w najbliższą niedzielę na ambonę i tam bywał drobiazgowo analizowany... Nie myślcie, że prelegent TWP witany jest wszędzie jak objawienie. Ileż razy patrzą na niego koso, ilu ludziom załazi on za skórę..."

Marksizm nie może jakoś utorować sobie drogi do chłopa.

SEKTOR SOCJALISTYCZNY W ROLNICTWIE

„Gospodarka Planowa" zamieszcza dane z dziedziny kolektywizacji rolnictwa w krajach demokracji ludowej. Udział „sektora socjalistycznego" w rolnictwie tych krajów wynosił w roku 1953: w Albanii 9,5%, w Bułgarii — 60,5%, w Czechosłowacji — 43%, w Polsce — 18,6%, w Rumunii — 23,3%, na Węgrzech — 37%. Przoduje zatem Bułgaria, Polska jest w tej dziedzinie krajem najbardziej zacofanym, a co więcej, tempo rozwoju spółdzielczości produkcyjnej w Polsce słabnie. W roku 1953 liczba gospodarstw spółdzielczych wzrosła o 63% w stosunku do roku poprzedniego, w pierwszych zaś 6 miesiącach r. 1954 — tylko o 9,4%. Wiele założonych spółdzielni ulega następnie rozwiązaniu; artykuł podaje dane dotyczące Węgier i Bułgarii, lecz to samo zjawisko istnieje i w Polsce.

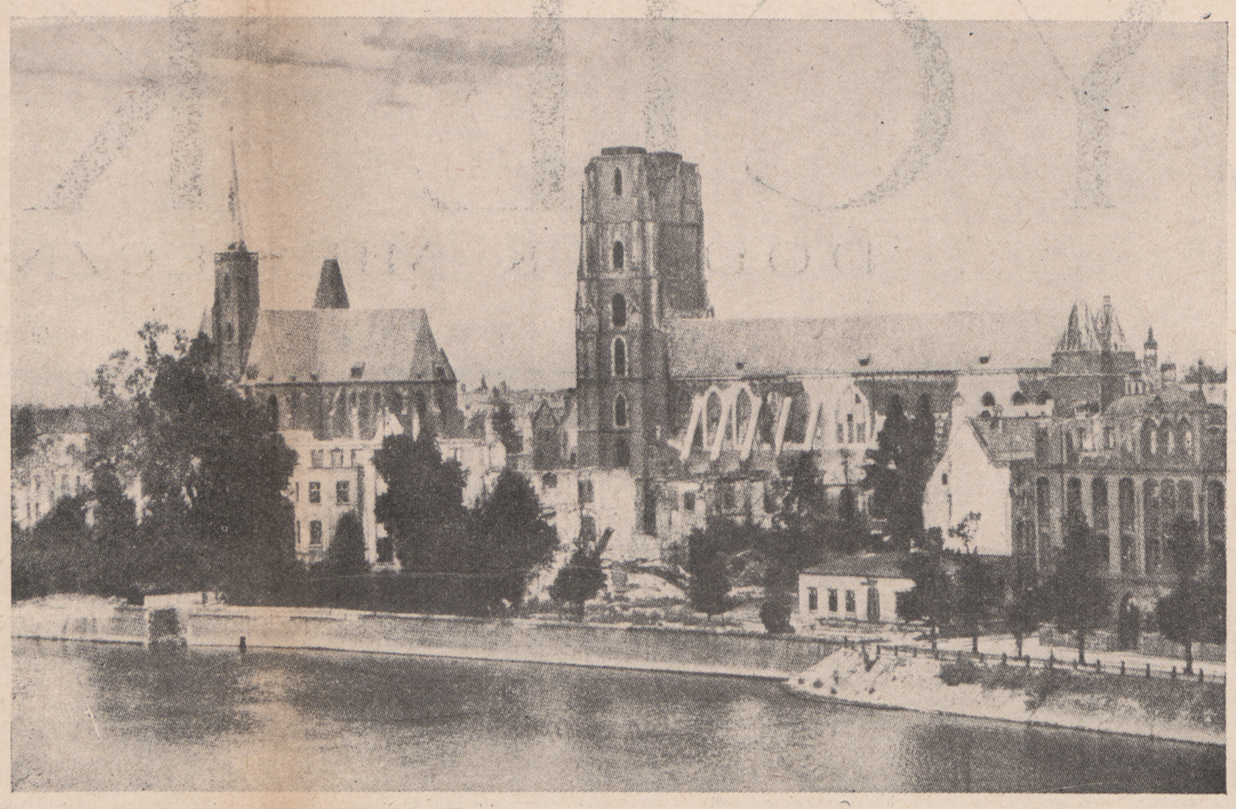

WROCŁAW: Katedra i kościół św. Krzyża

JEDNOLITE PLANY

Ekonomiści bloku sowieckiego są zajęci przygotowywaniem nowych pięcioletnich planów gospodarczych, mających wejść w życie w Związku Sowieckim i demokracjach ludowych od 1 stycznia 1956 r. Plany te są skoordynowane i oparte na „międzynarodowym podziale pracy". Ich ideą przewodnią ma być przyspieszenie rozwoju przemysłu ciężkiego i „socjalistycznej organizacji rolnictwa". Kładzie się nacisk na rozwój w każdym kraju tych rodzajów przemysłu, dla których kraj ten ma najlepsze warunki naturalne i techniczne.

Przygotowania te oznaczają dalszy krok na drodze integracji gospodarczej bloku sowieckiego i nie wróżą bynajmniej, aby żywione na Zachodzie nadzieje na rozluźnienie kontroli sowieckiej nad państwami Europy środkowo-wschodniej były realne.

CAMARADES, FAITES VOS JEUX

„U. S. News and World Report" podaje wiadomość o ponownym otwarciu w Sopotach ruletki, zamkniętej w swoim czasie przez „władzę ludową". Krupierzy, wysłani do „pracy produkcyjnej", powrócili do stołów gry. Zakres graczy jest ograniczony: składają się oni z wysokich dygnitarzy komunistycznych bawiących na wakacjach w tym letnisku.

BUDOWNICTWO

Według „Trybuny Ludu", w r. 1953 wybudowano w miastach i osiedlach robotniczych Polski 135 tysięcy izb mieszkalnych. W r. 1954 liczba ta wzrosła do 150 tysięcy. Ogółem w ciągu lat dziesięciu oddano do użytku 1.300 tysięcy izb odbudowanych lub wybudowanych na nowo. Przeciętna liczba roczna budowanych izb jest, jak informuje pismo, dwa i pół raza wyższa od przedwojennej. Polska buduje obecnie w stosunku do ludności więcej mieszkań niż Francja i Włochy.

Pomimo tego rozmachu budownictwa mieszkaniowego sytuacja mieszkaniowa w miastach jest nadal ciężka; buduje się wciąż za mało w stosunku do potrzeb ludności. Budownictwo jest skoncentrowane głównie w Warszawie, Nowej Hucie i na Śląsku, w odbudowie Warszawy zwłaszcza poczyniono ogromne postępy (85% budynków mieszkalnych w Warszawie było zniszczonych), za to odbudowa miast leżących z dala od centrów przemysłowych pozostaje w tyle. Tempo budownictwa mieszkaniowego powinno wzrość; możliwości takiego wzrostu istnieją, konieczny jest jednak, zdaniem „Trybuny", przełom w planowaniu i metodach pracy.

Słabością przemysłu budowniczego jest nienadążanie produkcji materiałów budowlanych (cegły, cementu) i wyposażenia mieszkań (wanny, kaloryfery, gazomierze, krany, zlewy itp.) za wzrostem zadań stawianych budownictwu. „Życie Warszawy" donosi o niewykonaniu przez przemysł cementowy planu produkcji cementu, określając niedobór na 250 tys. ton. Niedobór ten powstał wskutek zbyt późnego uruchomienia cementowni w Rejowcu i innych zaniedbań Centralnego Zarządu Przemysłu Cementowego.

Innymi słabościami przemysłu budowlanego są niedostateczna liczba fachowców, przestarzałe metody pracy, niedostateczna mechanizacja robót, nieumiejętne planowanie i — last but not least — brakoróbstwo, będące w dziedzinie budownictwa zjawiskiem powszechnym. Budownictwo odczuwa dotkliwie brak cegły, tymczasem w drodze z cegielni na budowę i na samej budowie marnuje się przeszło 10% cegły; koszt budowy jednej izby jest nadmiernie wysoki, wynosi bowiem ok. 30 tys. zł. Na budowę jednej izby zużywa się ok. 100 kg stali, 1.5 tony cementu, 7 tys. sztuk cegły, 1.7 metra sześć. drzewa, 1 tonę wapna.

Dodać należy, że również zjawiskiem powszechnym są skargi ludności na nowowybudowane mieszkania. Są one zaopatrzone w nowoczesne urządzenia, gaz, elektryczność, kanalizację, lecz urządzenia te są często nieczynne lub działają wadliwie. W pogoni za wykonaniem norm planu oddaje się nieraz do użytku mieszkania niewykończone, w których gnieździ się wilgoć, powstają zacieki, nie domykają się drzwi i okna itp.

Te wszystkie ujemne strony budownictwa socjalistycznego nie powinny jednak przesłaniać faktu poważnych osiągnięć w tej dziedzinie, zwłaszcza gdy się weźmie pod uwagę rozmiary zniszczeń wojennych i tempo rozwoju budownictwa przemysłowego.

ŻYCIE CODZIENNE

„Głos Pracy" zwraca uwagę na rosnącą stale w Kraju liczbę rozwodów. „Około 1000 spraw rozwodowych rozpatruje w ciągu roku sąd wojewódzki w Szczecinie, z czego blisko połowę załatwia się pozytywnie. Większość wniosków składają młode małżeństwa. Liczba ta z roku na rok wzrasta, a w pierwszych miesiącach br. bije dotychczasowe rekordy (150 spraw miesięcznie)... W większości spraw wchodzą w grę małe dzieci... Podobnie dzieje się w całym kraju..."

Co jest przyczyną tej powodzi rozwodów? Praca zawodowa kobiet poza domem, awantury i zdrady małżeńskie, trudności mieszkaniowe, pijaństwo. „Głos Pracy" narzeka, że organizacje partyjne, ZMP i rady narodowe nie interesują się tym zagadnieniem i nie przychodzą młodym małżeństwom z pomocą. Nie tędy wszakże prowadzi droga do zapobiegania rozkładowi komórki rodzinnej.

„Dziś i Jutro" informuje, że plaga pijaństwa w Polsce nie maleje, lecz w niektórych grupach ludności i częściach kraju „przybiera wprost zastraszające rozmiary". Społeczeństwo i władze patrzą na to bezczynnie. Nie prowadzi się stystematycznej walki z alkoholizmem, poradni przeciwalkoholowych jest niewiele, wyposażenie ich jest niedostateczne, prasa, radio i organizacje masowe nie popierają ich działalności. Leczenie się w poradni uchodzi za rzecz nieobyczajną, pacjentów otacza „atmosfera dyskryminacyjna", ci, którzy się leczą, czynią to w ścisłej tajemnicy. Zdarzały się wypadki zwalniania z pracy robotników leczących się w poradni.

Stosunek społeczeństwa do pijaków jest pobłażliwy, możliwości nabywania wódki nieograniczone, pijaków traktuje się w sklepach z nadmierną uprzejmością i obsługuje poza kolejką. Wszystko to wytwarza atmosferę sprzyjającą rozwojowi tego nałogu w szerokich kołach ludności. Skutecznym środkiem byłoby wprowadzenie przymusowego leczenia nałogowych alkoholików, lecz jest wątpliwe, czy „liberalna" władza ludowa zdecydowałaby się na przymus w tej dziedzinie, pozbawiający ją pokaźnych dochodów ze sprzedaży alkoholu.

WIADOMOŚCI KULTURALNE

BEZNADZIEJNE PRÓBY

„Nowa Kultura" zamieszcza obszerną recenzję K. T. Toeplitza o książce Zygmunta Lichniaka pt. „Obrachunki ze współczesnością" (wydawn. „Pax"). Lichniak jest jednym z katolików „społecznie postępowych", jego książka jest zbiorem artykułów, w których autor pragnie stworzyć „nowy i oryginalny — przynajmniej na naszym gruncie — system ocen krytyczno-literackich". Toeplitz traktuje te próby z pobłażliwą ironią. Lichniak, według niego, należy do ludzi, którzy „podpisują się pod niektórymi naszymi postulatami, dążąc jednocześnie do podporządkowania ich innym hierarchiom nadrzędnym, filozoficznym". Nazywa on siebie „katolikiem-socjalistą". Toeplitz analizuje sylwetkę Lichniaka jako katolika i jako socjalisty i przychodzi do wniosku, że jest w nim wiele rysów „zabawnych", znamionujących wewnętrzne sprzeczności. Autor „Obrachunków" namawia literaturę katolicką do „współtworzenia socjalizmu", „dokonuje niezliczonych zabiegów, aby pogodzić elementy pochodzące z dwóch krańcowo przeciwstawnych nurtów — materializmu i idealizmu", posuwa się do twierdzenia, że nie ma integralnego związku ustroju socjalistycznego z materializmem filozoficznym, oświadcza wreszcie, że „stosunku do faktów, ich „mądrości" szukać można zarówno w „Kapitale" jak i w „Summie Teologicznej", że uczy tej mądrości zarówno marksizm jak i tomizm". Nie wydaje mu się, aby „marksiści ze swoją filozofią materialistyczną mogli wyjaśniać człowieka w całym jego duchowym skomplikowaniu".

Wszystko to — oznajmia Toeplitz — świadczy tylko, że autor nie rozumie konsekwencji materializmu z jego „teorią alienacji, według której to, co wydaje się być na niebie jest w istocie na ziemi, jest ziemskie, jest ludzkie, jest w końcu materialne"... Na kartach jego książki toczy się wytężony proces stapiania elementów sobie obcych. „Dokonuje go Lichniak — nasz polityczny sprzymierzeniec — dlatego, że rozumie, iż w epoce imperializmu i rewolucji proletariackiej wszystko co społecznie postępowe jest po stronie socjalizmu... Ale praca ta jest beznadziejna". Krytyka literacka jest dziedziną twórczości związaną bezpośrednio z filozofią; „nie można zbudować systemu krytycznego, a więc w swoich podstawach filozoficznego, który by pogodził, pożenił jakoś idealizm z materializmem". „Wydaje mi się również niemożliwym przeszczepianie niektórych twierdzeń materializmu na grunt idealizmu tak, żeby szwów nie było widać".

Komunista też może czasami mieć rację.

RADIO

„Na blisko 3 miliony abonentów radia w Polsce — pisze „Trybuna Wolności" — prawie połowa musi słuchać „tego co jest", tzn. nie ma aparatów lampowych lub ma tylko głośniki. Liczba radiowęzłów za to szybko rośnie: jest ich obecnie 2397, w tym ponad 2000 gromadzkich, a z końcem roku bieżącego ma ich być 3699, w tym około 3300 gromadzkich. W skali światowej Polska zajmuje w tej dziedzinie drugie miejsce po Związku Sowieckim.

Nie wiadomo, w jakiej mierze posiadacze głośników korzystają z audycji informacyjnych „Polskiego Radia", gdyż, jak to przyznaje „Przegląd Kulturalny", audycje te są nudne. „Słyszy się często głosy, że dzienniki radiowe zawierają za mało informacji, że słuchacze są pozbawieni wielu wiadomości z kraju i z zagranicy, które widocznie wydają się radiowcom mało ważne..." Większość słuchaczy jest, zdaniem pisma, bardziej zadowolona z informacji o sprawach zagranicznych niż z wiadomości o sprawach krajowych. Wiadomości z dziedziny przemysłu, rolnictwa, współzawodnictwa pracy, ruchu racjonalizatorskiego, akcji siewnej, skupu itd. podawane są w sposób szczególnie nudny. Co prawda, trudno sobie wyobrazić, aby ta stereotypowa propaganda komunistyczna mogła być podawana w sposób interesujący.

„Zarzutem często wysuwanym pod adresem radia — oświadcza dalej pismo — jest zbytnia urzędowość, jakaś przesadna sztywność dzienników. Wyraża się to nie tylko w sposobie odczytywania wiadomości przez speakerów — jakże często koturnowym — ale przede wszystkim w nieznośnym dla ogółu słuchaczy zbyt oficjalnym języku". Oficjalność ta wyraża się np. w używaniu zwrotu „klika podżegaczy z Wall Street", co jest dopuszczalne w prasie, ale w radiu brzmi nieco sztucznie Wątpić jednak można, czy tylko urzędowa terminologia sowiecka odstręcza ludzi od radia.

MALARSTWO

Położenie malarzy w Polsce jest, według „Głosu Pracy", ciężkie. Narzekają oni, że „nie znajdują swego miejsca w społeczeństwie, że czują się niepotrzebni". Dawniej ludzie tłumnie zwiedzali salony i wystawy, a „elita mieszczańska" kupowała obrazy, dziś wystawy świecą pustką, a obrazów nikt nie kupuje. W świetlicach i osiedlach robotniczych wiszą na ścianach oleodruki niemieckie, reprodukcje kiczów i bohomazy, będące „zaprzeczeniem dobrego gustu i najskromniejszych nawet pojęć o estetyce". Pomoc państwowa dla malarzy ma charakter charytatywny, bierze pod uwagę potrzeby materialne artysty, a nie wartość artystyczną jego obrazów; jest poza tym małoznacząca.

Malarze skarżą się też na związki zawodowe, które „w swej działalności kulturalno-oświatowej po macoszemu potraktowały zawodową twórczość plastyczną". Wzruszony tymi skargami Związek Metalowców w Krakowie zakupił dwa obrazy: Z. Pronaszki „Katarynia rza" i Hoffmana „Autoportret" z półaktem na drugim planie. Obrazy wisiały jakiś czas w siedzibie Związku, aż nagle znikły, a na ich miejsce pojawiły się „mocno szpetne twory z papieroplastyki". „Jak nas objechali robotnicy! — tłumaczył przewodniczący Związku. — „Co wam się tam w okręgu w głowach poprzewracało? Za nasze pieniądze gołe kobity i kataryniarzy po ścianach wieszacie?..."

Pisząc o tegorocznym salonie w Pałacu Sztuki w Krakowie, „Głos" narzeka, że wiele wystawionych tam obrazów nie ma „przeznaczenia społecznego", reprezentuje zaś różne „wpływy i nurty", jak kubizm, ekspresjonizm lub surrealizm. Ten brak społecznej treści jest zapewne przyczyną nędzy malarzy, nie chcących naginać swych dzieł do celów propagandy. Demokracja ludowa ma swoje wymagania zarówno w stosunku do literatury jak i plastyki.

ŚPIEWACZKA

„Szpilki" drukują monolog wykonany przez jedną z artystek warszawskiego Teatru Satyryków. Aktorka opowiada, jak chciała zostać śpiewaczką za poradą „cioci Feli, która wróży z kart, prawdziwych, angielskich, z królem!"

— Zapisz się do chóru w radio — powiedziała. — Drzeć gardło potrafisz, a w radio słyszy się nie takie rzeczy. Dostaniesz tysiąc złotych za nic...

Więc poszłam do radia na audycję. Bardzo mili ludzie, ale niefachowi. Taki główny poprosił mnie do siebie i zaczął pytać:

— Ile chór ma głosów?

— Tylko jeden: za rządem.

To on powiedział, że się nie znam... Zabrałam się i poszłam. Postanowiłam, że będę śpiewać sama. Solo.

— Jak zapłacisz, to będziesz miała głos na solo — powiedziała ciocia Fela. — Jeszcze nie ma takiego socjalizmu, żebyś za gotówkę nie dostała, co potrzeba...

Poszłam do opery. Przyjął mnie taki jeden w sekretariacie:

— Co pani robiła dotychczas?

— Miałam prywatny sklep.

— Cóż to ma wspólnego ze sztuką?

— Jeśli to nie jest sztuka, to niech pan otworzy prywatny sklep!

Zawróciłam i poszłam do cioci Feli,

ŻYCIE KULTURALNE EMIGRACJI

NAGRODY MUZYCZNE ODDZIAŁÓW WARTOWNICZYCH

Jury nagrody muzycznej Polskich Oddziałów Wartowniczych przy armii amerykańskiej w Europie w składzie: prof. Ludwik Bronarski, Paweł Hostowiec, prof. Konstanty Regamey, dr Tymon Terlecki, pod przewodnictwem Witolda Małcużyńskiego przyznało nagrody po 166.500 frs. za całokształt pracy artystycznej: Romanowi Palestrowi (Monachium), Andrzejowi Panufnikowi (Londyn) i Antoniemu Szałowskiemu (Paryż).

SYLWETKI LAUREATÓW

ROMAN PALESTER

Roman Palester urodził się w r. 1907 w Śniatyniu w Małopolsce Wschodniej, ukończył gimnazjum we Lwowie oraz klasę fortepianu w Konserwatorium lwowskim. Od r. 1925 studiuje kompozycję muzyczną w Konserwatorium oraz historię sztuki na wydziale filozoficznym uniwersytetu w Warszawie. W r. 1930 otrzymuje dyplom z ukończenia klasy teorii i kompozycji. W tym samym czasie pierwszy utwór orkiestrowy Palestra — „Muzyka Symfoniczna" — zostaje wybrany przez międzynarodowe jury na Festiwal Muzyki Współczesnej w Londynie, a jego „Psalm V" na baryton, chór mieszany i orkiestrę otrzymuje pierwszą nagrodę na konkursie Związku Towarzystw Śpiewaczych w Poznaniu. Te dwa wyróżnienia były startem Palestra na estradach koncertowych w kraju i zagranicą.

W latach 1930-1939 Palester pisze wiele utworów symfonicznych i kameralnych wykonywanych wielokrotnie w kraju i zagranicą. Powstałe w tym okresie Wariacje na orkiestrę kameralną nagrodzono pierwszą nagrodą na konkursie Towarzystwa Wydawniczego Muzyki Polskiej w r. 1935, zaś balet „Pieśń o ziemi", wystawiony w choreografii Bronisławy Niżyńskiej, grany wielokrotnie w Polsce, Francji, Anglii i Niemczech, otrzymał złoty medal na międzynarodowej wystawie w Paryżu w r. 1937.

W tym okresie pisze Palester również bardzo wiele muzyki „stosowanej", tzn. ilustracji teatralnych, radiowych oraz filmowych. Z jego współpracy w dziedzinie muzyki scenicznej korzystali najwybitniejsi reżyserzy polscy oraz prawie wszystkie teatry krajowe. Z tego okresu pochodzą również partytury muzyki do licznych filmów m. in. „Dzikie pola", „Róża", „Młody las", „Dziewczęta z Nowolipek", „Dzień wielkiej przygody", „Ludzie Wisły" itd.

Palester brał żywy udział w przedwojennym polskim życiu muzycznym. Między innymi był sekretarzem generalnym, a później wiceprezesem Stowarzyszenia Kompozytorów Polskich, wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Muzyki Współczesnej, członkiem zarządu Związku Autorów i Kompozytorów, członkiem rady muzycznej T. O. S. S. P. O. itd.

Lata 1939-1945 Palester spędził w Kraju, przeważnie w Warszawie. Aresztowany przez Niemców był więziony przez pewien okres czasu na Pawiaku. Po wyjściu z więzienia pracuje nad Drugą Symfonią, Koncertem skrzypcowym oraz operą „Żywe kamienie" (według powieści Berenta). Podczas Powstania Warszawskiego przepadły utwory znajdujące się w rękopisach.

Po wojnie Palester był wicedyrektorem i profesorem kompozycji w Akademii Muzycznej w Krakowie. Został odznaczony powojenną nagrodą muzyczną m. Krakowa. Jego koncert skrzypcowy został wykonany na pierwszym powojennym festiwalu muzycznym w Londynie, a Druga Symfonia na festiwalu UNESCO w Paryżu w r. 1946.

Wobec coraz bardziej zaciskającego się pierścienia „opieki" komunisytcznej nad sztuką i wobec niemożności zachowania pełnej niezależności artystycznej, Palester decyduje się opuścić Kraj w r. 1947 i osiedla się na stałe w Paryżu. Tam powstają najwybitniejsze jego utwory ostatniego okresu: Symfonia Trzecia i Czwarta, „Requiem" na solistów, chór i orkiestrę napisane ku czci ofiar Powstania Warszawskiego, kantata „Wisła" do tekstu Żeromskiego, pieśni do tekstów Kochanowskiego i Rilkego oraz wiele innych utworów symfonicznych.

W tym czasie utwory Palestra wykonywane są wielokrotnie na festiwalach muzycznych w Londynie, Paryżu, Rzymie, Brukseli, Wenecji, Amsterdamie itd. W roku 1948 Palester pisze na zamówienie nowojorskiej „League of Composers" Serenadę wykonaną na uroczystym koncercie z okazji 25-lecia tej instytucji. W tym czasie Palester był członkiem Komitetu Prezydialnego Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej. Był bardzo często zapraszany do jury rozmaitych konkursów muzycznych w Amsterdamie, Budapeszcie, Luksemburgu, Frankfurcie, Oslo, a ostatnio zaproszono go do jury międzynarodowego festiwalu muzyki współczesnej, który odbędzie się w roku przyszłym w Sztokholmie.

W odpowiedzi na opuszczenie Kraju rząd warszawski nakazał wycofanie z obiegu wszystkich jego utworów wydanych w Polsce i nakazał usunięcie jego nazwiska ze wszystkich krajowych publikacji muzycznych. I tak, jeśli w książce wydanej bezpośrednio po wojnie prof. Reiss nie wahał się określić Palestra jako „najwybitniejszy talent swego pokolenia", o tyle w ostatnich publikacjach nie ma o nim w ogóle mowy, a utwory jego znikły ze wszystkich programów koncertowych.

W ciągu ostatnich lat Palester, nie zaprzestając żywej działalności kompozytorskiej, współpracuje z radiostacją Wolna Europa, która umożliwiła mu kontakt z muzykami i melomanami w Kraju, odciętymi od aktualnych prądów zachodnich. W audycjach swoich Palester informuje słuchaczy krajowych o tym wszystkim, co dzieje się w sztuce i muzyce wolnego świata.

ANDRZEJ PANUFNIK

Andrzej Panufnik urodził się w Warszawie w r. 1914. Ojciec jego, Tomasz, był najznakomitszym polskim twórcą instrumentów smyczkowych i autorem wielu dzieł z tego zakresu. Matka, Matylda Thonnes, pochodzenia angielsko-austriackiego, była utalentowaną skrzypaczką.

Panufnik rozpoczął komponowanie w dziewiątym roku życia, a w r. 1931 wstąpił do Konserwatorium w Warszawie, gdzie był uczniem teorii muzyki i kompozycji. Skończył Konserwatorium z odznaczeniem w r. 1936 i wyjechał na dalsze studia do Państwowej Akademii Muzycznej w Wiedniu, gdzie był uczniem znakomitego dyrygenta i pedagoga Feliksa von Weingartnera. Zakończył swoje studia muzyczne w roku 1938/39 w Paryżu i w Londynie.

W czasie okupacji niemieckiej Panufnik zajmował się pracą kompozytorską i jednocześnie występował z wielkim powodzeniem jako pianista na licznych koncertach charytatywnych, organizowanych przez Podziemie.

Natychmiast po zakończeniu wojny mianowany został dyrygentem Krakowskiej Orkiestry Filharmonicznej, a później, dyrektorem Warszawskiej Orkiestry Filharmonicznej.

Lata powojenne w Polsce spędził Panufnik na pracy kompozytorskiej jako dyrygent. Niewola artystyczna, która tam panuje, nie pozwalała mu jednak na komponowanie takich dzieł, jakie komponować pragnął i zdecydował się Polskę opuścić. Od lipca 1954 przebywa stale w Anglii. Tu, z dala od artystycznego przymusu, z dala od prac zleconych, poświęcić się pragnie całkowicie twórczej pracy muzycznej.

W Anglii występował już wielokrotnie, zarówno w salach koncertowych jak i w BBC. Z koncertów radiowych wymienić należy przede wszystkim jego koncert muzyki polskiej, gdzie poza jego własnymi utworami „Concerto in modo antico" i „Uwertura tragiczna", reprezentowani byli: Karłowicz, Janiewicz i Szałowski. Na pierwszym koncercie w Londynie, w Royal Festival Hall'u Panufnik dyrygował swój „Nocturn", na następnym zaś w Albert Hall'u, „Uwerturę tragiczną". Ostatnio w serii koncertów „Promenade" w Albert Hall'u, Panufnik dyrygował orkiestrą symfoniczną BBC, która wykonała po raz pierwszy publicznie jego „Sinfonia Rustica".

W ciągu ostatniego roku Panufnik wyjeżdżał na koncerty do Francji i Belgii, a także do Stanów Zjednoczonych, gdzie Leopold Stokowski dyrygował jego „Symfonią pokoju". Brał też udział w jury Międzynarodowej Nagrody Muzycznej w Monte Carlo.

ANTONI SZAŁOWSKI

Antoni Szałowski — urodzony w r. 1907 w Warszawie. Studia muzyczne zaczął pod kierunkiem swego ojca Bonifacego Szałowskiego, profesora Państwowego Konserwatorium Muzycznego w Warszawie. W r. 1919 wstępuje do konserwatorium warszawskiego do klasy fortepianu profesora Przyjałgowskiego, a następnie Pawła Lewieckiego. Po objęciu uczelni przez Karola Szymanowskiego w r. 1927, porzuca studia fortepianowe i wstępuje do klasy kompozycji Kazimierza Sikorskiego i klasy dyrygentury Grzegorza Fitelberga. W r. 1930 kończy konserwatorium warszawskie z odznaczeniem i nagrodą. Ale przedtem jeszcze, w r. 1928, G. Fitelberg zwraca uwagę na partytury Szałowskiego i włącza jego „Wariacje symfoniczne" do programu jednego ze swych „piątkowych koncertów symfonicznych" w Filharmonii warszawskiej. Debiut kompozytorski Szałowskiego spotkał się z dużym odzewem prasy i publiczności.

W r. 1930 Szałowski wyjeżdża jako stypendysta Funduszu Kultury Narodowej do Paryża do słynnego pedagoga prof. Nadii Boulanger. Pozostaje w jej szkole do 1936 i zamyka studia skomponowaniem Uwertury. Kompozycja ta, odznaczona w r. 1937 Złotym Medalem na Międzynarodowej Wystawie w Paryżu i wielokrotnie potem wykonywana w Europie, Ameryce i Australii, jest do dziś bodaj czy nie najbardziej znaną i najczęściej wykonywaną za granicą współczesną partyturą polską. Uwertura została nagrana po wojnie na płyty E.M.I. przez London Symphony Orchestra pod dyrekcją Sir Malcolm Sargenta.

W kilka miesięcy po swym przyjeździe do Paryża w r. 1931 Szałowski nawiązuje kontakt z Editions Max Eschig w Paryżu, a w ślad za tym wydawnictwem i inne muzyczne firmy wydawnicze zagranicą ogłaszają jego prace. Dziś większa część utworów Szałowskiego jest wydana przez Editions Max Eschig, Amphion i Pierre Noel w Paryżu, Chester Ltd. i Augener Ltd, w Londynie, oraz Omega Music Edition w Nowym Yorku. Zainteresowanie wydawców twórczością Szałowskiego stale wzrasta o czym świadczy fakt, iż w chwili obecnej znajdują się w druku cztery jego prace: trzy w Londynie (Divertimento na trio dęte, Suita na klawesyn i Etiuda na fortepian), oraz jedna w Nowym Yorku (Kwintet na instrumenty dęte). Ukażą się one drukiem w grudniu 1955 r.

Kompozycje Szałowskiego — zarówno symfoniczne, jak i kameralne — grywane są wszędzie i nie sposób wymienić ich wykonań. Poza tym wykonane były na Biennale w Wenecji w 1938, na festiwalach International Society for Contemporary Music w 1939 w Warszawie, w 1941 w Nowym Jorku, w 1948 w Amsterdamie, w 1952 we Frankfurcie.

Szałowski bierze od r. 1933 czynny udział w działalności Stowarzyszenia Młodych Muzyków Polaków w Paryżu, którego założycielem, opiekunem i prezesem honorowym był Ignacy Paderewski. Szałowski był kilkakrotnie członkiem Zarządu tego stowarzyszenia, a w 1948 został wybrany prezesem i zajmował to stanowisko do 1951 r.

We wrześniu 1939 r. Szałowski zgłosił się jako ochotnik do Armii Polskiej we Francji, lecz nie został zmobilizowany. Przez czas okupacji mieszkał w południowej Francji. W 1946 r. powrócił do Paryża, gdzie przebywa bez przerwy do chwili obecnej i pracuje jako kompozytor — nieraz w nad wyraz ciężkich warunkach materialnych.

BIBLIOTEKA POLSKA

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS",

12 PRAED MEWS, LONDON, W. 2.

W SUBSKRYPCJI NA PAŹDZIERNIK

ZBIÓR PRZEMÓWIEŃ SŁYNNEGO KAZNODZIEI AMERYKAŃSKIEGO I PRZYJACIELA POLSKI

KS. BISKUPA FULTONA JOHNA SHEENA

SURSUM CORDA

Tłumaczył Wiesław Pisarczyk

CENA sh. 9/-

Po zakończeniu subskrypcji cena sh. 15/-

ECHA NAGRODY KOMBATANCKIEJ

LIST PROF. J. ŁUKASIEWICZA

Nagrodę ustanowioną przez Stowarzyszenie Polskich Kombatantów za prace naukowe, reprezentujące polską kulturę duchową wobec innych narodów, przyjmuję z wdzięcznością jako wyraz uznania nie tylko dla moich indywidualnych wysiłków, ale dla całej działalności tak zwanej „Warszawskiej Szkoły Logicznej", której byłem jednym z współtworców. Drugi współtwórca tej szkoły, profesor Stanisław Leśniewski, uczony o potężnym i głębokim umyśle, zmarł w sile wieku przed drugą wojną światową w maju 1939 roku.

Dzięki powstaniu niepodległego Państwa Polskiego i zwycięskiemu zakończeniu wojny polsko-rosyjskiej mogliśmy obaj, uzupełniając się nawzajem, szerzyć w latach 1921 do 1939 r. kulturę logiczną wśród studentów odrodzonego Uniwersytetu Warszawskiego, zdobywając sobie wybitnie uzdolnionych uczniów. Ten zespół profesorów i uczniów wytworzył z biegiem lat atmosferę naukową, w której rodziły się idee logiczno-filozoficzne, nowe nie tylko w obrębie naszego kraju, ale w zasięgu światowym. Znaleźliśmy szczęśliwym trafem złotodajną żyłę nie wyzyskaną należycie przez innych.

Nie jest rzeczą możliwą scharakteryzować krótko a przystępnie zakres zagadnień i osiągnięć właściwych Warszawskiej Szkole Logicznej. Byłoby to temat może równie trudny, jak popularne przedstawienie współczesnych teorii fizykalnych. Ograniczę się przeto podaniem głównych celów i kierunków badań obu współtwórców Szkoły, chcąc by uczestnicy zebrania otrzymali choćby ogólnikowy obraz naszych poczynań.

Złotodajną żyłą, którą wyzyskaliśmy, była tak zwana „logika matematyczna" lub „symboliczna", nazwana tak dlatego, że prawa logiczne formułuje we wzorach symbolicznych podobnych do wzorów matematycznych. Logika formalna, która w czasach nowożytnych znadowała się w głębokim upadku, odrodziła się jako logika symboliczna z ducha matematyki w drugiej połowie XIX wieku pod wpływem prac Boole'a, Frege'go, Peirce'a. Szerszy rozgłos uzyskała dopiero w roku 1910, w którym Alfred N. Whitehead i Bertrand Russell zestawili jej wyniki w I-ym tomie dzieła „Principia Mathematica".

Nawiązaliśmy nasze badania do tej logiki symbolicznej. Głównym celem dzieła „Principia Mathematica" było ugruntować matematykę tak pod względem formy jak treści na pojęciach i zasadach logicznych, to znaczy wyprowadzić matematykę z logiki. Dzieło to jednak zawierało wiele nieścisłości. Leśniewski zauważył to wkrótce i próbował w lepszy sposób cel ten osiągnąć, budując w ciągu lat trzy głęboko obmyślane i z niezrównaną ścisłością opracowane systemy logiczne, które nazwał prototetyką, ontologią i mereologią, wierząc że wystarczą do ugruntowania matematyki. Nie zdołał jednak przed śmiercią ogłosić swych odkryć w całej pełni, a rękopisy pozostawione przez niego uległy zniszczeniu w czasie powstania warszawskiego. Na szczęście uczniowie jego, Czesław Lejewski w Londynie, Jerzy Słupecki w Wrocławiu i Bolesław Sobociński w Stanach Zjednoczonych, opierając się na swych notatkach z wykładów Leśniewskiego, starają się zrekonstruować całokształt jego systemu i udostępnić go Zachodowi.

Co się tyczy mojej osoby, to skoncentrowałem się na najprostszym systemie logicznym, tak zwanym „rachunku zdań". W zakresie tego rachunku udało mi się, jeszcze przed działalnością warszawską, bo z początkiem roku 1920, stworzyć tak zwaną „Logikę trójwartościową".

Odkrycie to można porównać z odkryciem geometrii nieeuklidesowskiej w XIX wieku. Cała dotychczasowa logika oparta jest na zasadzie, którą nazwałem „zasadą dwuwartościowości", orzekającą, że istnieją tylko dwie wartości logiczne ,prawda i fałsz, czyli, że każde zdanie może być tylko albo prawdziwe albo fałszywe. Zastanawiając się nad logiką modalną, która dołącza do logiki zdania stwierdzające możliwość i konieczność, doszedłem do przekonania, że obok prawdy i fałszu mogą być jeszcze inne pośrednie wartości logiczne, i systemy logiczne oparte na nich mogą być różne od powszechnie przyjętej logiki.

Prowadząc dalej te badania w Dublinie, stworzyłem niedawno czterowartościowy system logiki moralnej, który uzupełnia system logiczny zapoczątkowany jeszcze przez Arystotelesa.

Drugim kierunkiem badań moich była historia logiki. Będąc jeszcze we Lwowie wydałem w roku 1910 książkę „O zasadzie sprzeczności u Arystotelesa", a w roku 1934 ogłosiłem po polsku i po niemiecku rozprawę „Z historii logiki zdań", w której wykazałem po raz pierwszy, że logika Stoików jest starożytnym odpowiednikiem nowożytnego rachunku zdań. W rozprawie tej zwróciłem także uwagę na cenne wyniki z zakresu rachunku zdań uzyskane przez filozofów średniowiecznych, rehabilitując w tej dziedzinie działalność naukową scholastyków niesłusznie osławioną przez ignorantów. To ostatnie odkrycie stało się punktem wyjścia szeregu prac z zakresu logiki średniowiecznej głównie dzięki temu, że zainteresował się tą sprawą wybitny znawca scholastyki, nieżyjący już ks. profesor Konstanty Michalski w Krakowie. Kontynuatorem moich poczynań stał się mój uczeń, ks. profesor Jan Salamucha, zamordowany podczas powstania warszawskiego; za jego pośrednictwem zajął się logiką średniowieczną dominikanin I. M. Bocheński, profesor Uniwersytetu w Fryburgu szwajcarskim, a wreszcie obcy, jak zmarły niedawno franciszkanin Philotheus Boehner, działający w Stanach Zjednoczonych lub dominikanin Ivo Thomas w Oksfordzie.

Do kategorii prac historycznych należy także książka moja „O sylogistyce Arystotelesa z punktu widzenia nowoczesnej logiki formalnej", rozpoczęta tuż przed wojną w Warszawie, a ukończona przeze mnie w języku angielskim w Dublinie i wydana w roku 1951 przez Clarendon Press w Oksfordzie. Książka ta rozeszła się w wielu setkach egzemplarzy w całym świecie i wywołała przeszło 30 artykułów i recenzji w rozmaitych językach, przyczyniając się do rozgłosu Warszawskiej Szkoły Logicznej.

W całej mojej działalności naukowej przyświecała mi myśl daleka, że przez poprawę logicznego myślenia dojdziemy kiedyś do poprawniejszych poglądów na świat i życie. W logice symbolicznej znalazłem miarę ścisłości naukowej przewyższającą znacznie ścisłość matematyków, a nieporównanie większą od rozważań i rozumowań filozofów.

Jestem zdania, że wiedza logiczna największych nawet filozofów, np. Kanta lub Hegla, znajduje się poniżej poziomu naukowego, a ponieważ zagadnienia logiczne są często podstawą spekulacji filozoficznych, przeto i filozofia ich nie znajduje się na o wiele wyższym poziomie. Dawałem temu niejednokrotnie wyraz zarówno w swych pracach fachowych jak w artykułach popularnych, pisząc np. o filozofii Kanta w „Wiadomościach Literackich", a o filozofii Kartezjusza w „Kwartalniku Filozoficznym". Nie byłem nigdy żołnierzem, ale na terenie duchowym prowadzę uporczywą walkę z błędem i nieścisłością w przekonaniu, że lepsza logika i lepsza filozofia doprowadzi nas kiedyś do lepszej przyszłości.

Jan Łukasiewicz

Dublin, 10 sierpnia 1955.

NOWE KSIĄŻKI

HISTORIA LITERATURY POLSKIEJ PO WŁOSKU

We Włoszech poważne zainteresowanie się literaturą polską nastąpiło dopiero z początkiem naszego stulecia, czego daje wyraz Egisto De Anreis w swoim artykule o Słowackim.*) Trzeba to podkreślić ku wielkiemu naszemu zadowoleniu, że zainteresowanie się polską literaturą nastąpiło we Włoszech jeszcze w okresie, kiedy nie mieliśmy własnej państwowości i kiedy nic jeszcze nie wskazywało na to, że nasza niepodległość tak szybko się urzeczywistni. Że literatura poczynała sobie już wtedy zdobywać uznanie, świadczyło to poważnie o jej atrakcyjności.

Oczywiście to zainteresowanie rozszerzyło się po odrodzeniu Polski. Otwierało się wielkie pole do odrobienia lat niewoli, do przywrócenia wiadomości o Polsce wśród szerokich mas Zachodu. A nasze dobra kulturalne, nasz dorobek umysłowy w okresie niewoli bynajmniej nie zmniejszyły się, wręcz odwrotnie, gwałtownie się posterzyły. Sięgnęły szczytów geniuszu tak w literaturze jak i muzyce. Chopin był łatwo dostępny, bo muzyka nie operuje słowami, ale aby poznać Mickiewicza czy Słowackiego, trzeba było poznać i język polski. I tu stawała pierwsza zapora w rozpowszechnianiu naszej literatury. Tę zaporę poczęto przezwyciężać po odzyskaniu niepodległości Polski, kiedy zostały uruchomione katedry literatury polskiej, w połączeniu ze studiami nad polskim językiem.

We Włoszech, niezależnie od ośrodków oficjalnych rozpowszechniania kultury polskiej, istniały również ogniska prywatne, mianowicie pewne rodziny, które wyraźnie, zwłaszcza w pierwszych początkach naszej niepodległości, wyróżniały się w propagowaniu wiedzy o Polsce. Należą do nich Clotilde i Cristina Garosci oraz Attilio i Marina Begey. Ta ostatnia rodzina, jak to pięknie przedstawiła Zofia Kozarynowa w jednym z artykułów („Wiadomości" nr 416), kultywuje polskość przez tradycję datującą się od przeszło stu lat, a zapoczątkowaną od znajomości z Andrzejem Towiańskim. Nic więc dziwnego, że jedna z najobszerniejszych i najlepszych prac o Towiańskim wyszła właśnie spod pióra Mariny Bersano Begey („Vita e pensieri di Towiański — 1848-1918"). To jest też kluczem do zrozumienia, dlaczego rodzina Begey zachowała przywiązanie do Polski, mimo odległych lat i zmienności czasu.

Sama Marina Bersano Begey, profesorka literatury polskiej na uniwersytecie w Turynie, poznała nasz kraj w okresie dwudziestolecia, a to zetknięcie się osobiste z krajem, ludźmi i kulturą, znanymi jej dotąd teoretycznie, zbliżyło ją jeszcze bardziej do nas. Dlatego też jej praca naukowa potoczyła się wokół Polski. Zakres jej zainteresowania się sprawami Polski nie ograniczył się tylko do poznawania naszej kultury, ale przejawił się i na innym polu. W czasie wojny wielu Polakom pomagała materialnie, chroniła ich i może niejednemu uratowała życie. Jest więc, jeśli chodzi o tę stronę działalności Rosą Bailly na gruncie włoskim, z tym, że większe zainteresowanie przejawia w kierunku propagowania kultury polskiej. Poznała ją do głębi poprzez rozprawy krytyczne, monografie, prace bibliograficzne i tłumaczenia. Z tym zaś łączy się i gruntowne opanowanie języka, bo obcy język poznaje się do głębi i najbardziej wnikliwie przez tłumaczenia. Bersano Begey tłumaczyła utwory naszej literatury od czasów jej pojawienia się aż po dni dzisiejsze. Trzeba brać to dosłownie, bo Bogurodzica, Lament Matki Boskiej pod Krzyżem, Rozmowa Mistrza ze Śmiercią i inne, więc najstarsze zabytki języka polskiego zostały właśnie przez nią przyswojone językowi włoskiemu. Sięgnęła więc epoki, kiedy nasza literatura była w powijakach, kiedy nieśmiało stawialiśmy pierwsze kroki w piśmiennictwie.

Aby nie wymieniać wszystkich jej prac, ograniczę się tylko do dwu najważniejszych, które otwarły podwoje dla studiów polonistycznych we Włoszech i przełamały zaporę, z którą każdy początkujący w tym zakresie musiał się borykać. Są to: „La Polonia in Italia", studium bibliograficzne, obejmujące lata 1799-1948 i 2) „Storia della letteratura polacca". Pierwsza zawiera te wszystkie publikacje, które ukazały się we Włoszech na przestrzeni ostatnich stu pięćdziesięciu lat, a które dotyczą spraw Polski. Studium ogromne, wykonane z mrówczą pracowitością i przy zastosowaniu najnowszych metod w dziedzinie bibliograficznej. Ileż wysiłku i czasu zaoszczędzi ta praca każdemu, kto zechce odtąd zajmować się we Włoszech studiami o Polsce. Podobną pracę, tylko w mniejszym zakresie i odnoszącą się do druków włoskich w Polsce wykonał w kraju Walerian Preisner.

Historia literatury polskiej jest drugim ważnym dziełem Mariny Bersano Begey w propagowaniu kultury polskiej. Dotychczas poznawano we Włoszech naszą literaturę z różnych, przeważnie ogólnikowych, zarysów lub często z języka obcego. A właśnie zaistniała ostatnio paląca potrzeba wydania literatury polskiej. Prócz młodzieży uniwersyteckiej upominały się o nią rodziny polsko-włoskie, które są najtrwalszym i uczuciowo związanym łańcuchem zazębiania się kultury obu narodów. Bersano Begey zapełniła istniejącą lukę ku ogólnej wdzięczności zainteresowanych.

Książka wyszła jako trzeci z rzędu tom wydawnictwa, które zakreśliło sobie plan bardzo śmiały i szeroki: wydania literatury narodów europejskich i niektórych spoza Europy. W sumie wydawnictwo przewidziało wydanie 29 literatur. Przedsięwzięcie godne podziwu.

Z punktu widzenia podziału i ujęcia historii literatury polskiej, autorka trzyma się raczej historyków zastosowujących metodę literacką, więc bliską M. Szyjkowskiemu, M. Korbutowi, S. Dobrzyckiemu. Wiemy, że sposób ujmowania syntezy literatury polskiej od czasów pierwszego pojawienia się takiej syntezy tj. od „Krótkiego zarysu historii literatury polskiej" (Berlin 1807) Tomasza Szumskiego aż po dni dzisiejsze — przechodził różne fazy. Pierwsi historycy, jak Feliks Bentkowski, Zygmunt Bartosiewicz, przy podziale trzymali się raczej historii politycznej. Inni, jak Edward Dembowski czy Jan Majorkiewicz chcieli pogodzić metodę historyczną z filozoficzną. Najlepszy historyk literatury pierwszej połowy ubiegłego wieku — Michał Wiszniewski wprowadzał swoje terminy, ukuł między innymi termin „literatura rodzima", który się przyjął w naszym słownictwie. Wybitni historycy literatury drugiej połowy ubiegłego stulecia Piotr Chmielowski i Stanisław Tarnowski zastosowali jeszcze inne podziały. Pierwszy wprowadził ścisłe daty, jak 966-1400 lub 1796-1820 (podaję dla przykładu), które jakoby były pewnymi słupami granicznymi, drugi postępował naprzód wiekami, wychodząc z założenia, że w każdym wieku coś się dzieje. Najbardziej odpowiadał by historii literatury sposób Stanisława Dobrzyckiego, który zastosowuje podział na okresy, pokrywające się z kierunkami literackimi, przy tym okresów nie ujmuje w ścisłe daty. Świetnie ujął zagadnienia podziałów Stanisław Cywiński, godząc różne skrajności.**)

Bersano Begey dała podział bardzo jasny i przejrzysty, pogodziła historię z literaturą. Całość ujęła w trzy części: 1. Polskę przedrozbiorową, 2. porozbiorową, 3. Polskę Odrodzoną. Każda z tych części dzieli się z kolei na rozdziały odpowiadające przeważnie prądom literackim. W rozdziałach dorzuciła Bersano Begay niecc historii politycznej jako podłoża orientacyjnego. Trzeba wiedzieć, że literatura ta była pisana dla obcokrajowców i że takie podłoże jest niezbędne dla zrozumienia rozwoju kulturalnego.

Pracę zaopatrzyła autorka obszerną niemal wyczerpującą bibliografią. Najpierw ogólną, potem szczegółową, oddzielną do każdego rozdziału. W bibliografii znalazły się również periodyki literackie tak polskie jak i obce, te ostatnie przeważnie dotyczące studiów slawistycznych w ogólności. Otóż ta bibliografia jest przewodnikiem niezbędnym dla wszystkich zajmujących się sprawami polskimi, przewodnikiem niezmiernie cennym, tym bardziej, że przygotowanym przez specjalistkę.

Mało mieliśmy dotąd opracowań literatury polskiej w językach obcych i przeznaczonych dla cudzoziemców. Ponadto wszystkie one, lub prawie wszystkie, jak A. Brücknera („Geschichte der Polnischen Literatur"), R. Dyboskiego („Periods of Polish Literature History"), J. Kleinera („Die polnische Literatur"), B. Chlebowskiego („La littèrature polonaise au XIX siècle"), W. Lednickiego („Life and culture of Poland as reflected in Polish Literature") — są pisane przez Polaków. Z obcych wyróżniają się J. W. Rose***) i Marina Bersano Begey, obydwoje nam przychylni. Praca Bersano Begey jest chyba jedyną obszerniejszą syntezą naszej literatury napisaną przez cudzoziemkę i na tym polega jej odmienność, jej nawet nadzwyczajność. Przy tym z książki jej unosi się sympatia dla narodu polskiego. Wyczuwa się, że autorka jest związana z przedmiotem uczuciowo. Wiele uroku dodaje książce posługiwanie się tu i tam tekstami w tłumaczeniu na język włoski, zwłaszcza, gdy chodzi o poezję. To połączenie pracy o charakterze historycznym razem z pracą tłumacza, i to tłumacza poezji, jakże pomnaża wartość dzieła.

Wnikliwy szperacz może w tej pracy znaleźć pewne usterki, odnośnie wysuwania takich dzieł czy autorów, a nie podawania innych jak to np. że autorka wśród zabytków XV wieku nie wymieniła najobszerniejszego, mianowicie Biblii królowej Zofii, wymieniła zaś inne pomniejsze lub, że opuściła Szymona Szymonowicza a sporo miejsca poświęciła literaturze sowizdrzalskiej. Nie są to jednak rzeczy istotne.

Z podziwem należy podkreślić, że z takiego olbrzymiego materiału umiała wydobyć problemy, dzieła i postaci najbardziej ważkie i charakterystyczne, że ten materiał opanowany jej myślą, stał się przystępny i zrozumiały dla czytelnika i że autorka umiała tego czytelnika porwać i przykuć do dzieła swoim talentem narracyjnym. O literaturze jej nie można mówić, że jest to wielkie dzieło, ale trzeba powiedzieć, że jest to dzieło bardzo pożyteczne, bardzo potrzebne i szczególnie nam życzliwe, bo owiane serdecznym stosunkiem do naszego narodu. I stąd winna płynąć nasza wdzięczność dla Mariny Bersano Begey.

S. A. Piekut

*) Juliusz Słowacki. 1809-1849. Księga zbiorowa w stulecie zgonu. Londyn. 1951.

** Prace historyczno-literackie. Księga zbiorowa ku czci Ignacego Chrzanowskiego. Kraków. 1936.

***) Tytułu książki nie pamiętam.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 23 października 1955.

NASZE SPRAWY

POWIAT ŁUKOWSKI

W „Życiu Warszawy", w artykule „Głęboko sięgają korzenie", w numerze z dnia 11-12 września br. niejaki Jacek Wołowski pisze co następuje o powiecie łukowskim na Podlasiu (województwo lubelskie):

„W pow. łukowskim... jest ogółem 272 wsie. Na te 272 wsie jest zaledwie 18 wsi zelektryfikowanych. Na te 272 wsie zaledwie w 24 wsiach ludzie posiadają radia lampowe lub detektorowe. Na te 272 wsie tylko 32 mają świetlicę, a z tych 32 wsi tylko 19 wsi ma świetlicę, nadającą się do użytku. Natomiast w tych 272 wsiach powstało do tej pory 670 kółek różańcowych, które mają swoje lokale i jest 70 skrytek zakonnych... Lecz pow. łukowski uważa się za przodujący powiat w województwie, a aktywiści jego są pełni samozadowolenia i głęboko wierzą, że w powiecie dokonywa się przełom..."

Statystyka powyższa daje nam, emigrantom, odciętym od życia Kraju, sposobność do niezmiernie przenikliwego rzutu oka w głąb stosunków panujących na polskiej wsi. Rzadka to okazja — dlatego warto się nad tą statystyką głębiej zastanowić.

Pozostawmy na boku sprawę elektryfikacji. Fakt, że wieś we wschodniej połowie Polski nie jest zelektryfikowana nie jest niczym nowym. Wiadomość, że w powiecie, leżącym na samym wschodnim krańcu terytorium państwowego (w jego obecnych granicach) proces elektryfikacji ogarnął zaledwie co piętnastą wieś, nie wzbogaca naszej wiedzy o Polsce niczym rewelacyjnym.

Natomiast dane, dotyczące prądów duchowych na wsi w powiecie łukowskim są doprawdy przejmujące.

Tylko 32 wsie w powiecie tym posiadają komunistyczną świetlicę, a z tych świetlic 13 w praktyce nie nadaje się do użytku. To znaczy co piętnasta wieś w tym powiecie posiada świetlicę komunistyczną „nadającą się do użytku", a co ósma wieś posiada w ogóle jakikolwiek zorganizowany ośrodek życia społecznego komunistycznego w postaci świetlicy „nadającej się", lub „nie nadającej się" do użytku.

Natomiast w tymże powiecie łukowskim jest 670 kółek różańcowych i kółka te posiadają swoje lokale. To znaczy, że w każdej wsi są przeciętnie dwa lub trzy takie kółka.

Kółka te składają się z żywych ludzi. Żywi ludzie do nich należą. Żywi ludzie także je pozakładali, kierują nimi, dbają o to, by się nie rozleciały. Bo kółko różańcowe, tak jak każde kółko, musi mieć kogoś, kto jest jego duszą, kto wkłada w jego prowadzenie swój zapał, swój czas, swą inicjatywę, swą energię. 670 kółek w jednym powiecie! Cóż to za potężny ruch! Cóż to za potężna siła duchowa i społeczna! Jakaż inna akcja organizacyjna, w jakimkolwiek kraju, w jakimkolwiek społeczeństwie, potrafiłaby się poszczycić takim zasięgiem swojej działalności?

I owe lokale kółek też nie zrobiły się same, ale zorganizowali je ludzie. Rząd i partia komunistyczna nie dają na te lokale subwencji! Lokale te — to z pewnością owoc dobrowolnych, a ofiarnych składek. Albo też — to izby, uczynnie odstąpione na cel religijny przez katolickie rodziny w ich mieszkaniach, w ich chałupach.

Dwa lub trzy kółka różańcowe w każdej wsi. Co to za mocny kościec katolickiego społeczeństwa wiejskiego! Co to za potężne źródło katolickiego wpływu, promieniującego na całą wieś, na cały ogół!

Kim są ci ludzie, co zorganizowali te 670 kółek, co wysiłkiem z pewnością nie tylko ofiarnym, lecz wręcz heroicznym je prowadzą, co troszczą się o to, aby nie upadły? — Księża? — Pewnie w niemałym stopniu księża. Ale księża sami nie daliby rady. Księża są zapracowani w kościele, w parafii, u ołtarza, na kazalnicy, w konfesjonale; nie mają czasu chodzić po zebraniach kółek. A przecież kółek jest 2-3 we wsi, a kościół jest jeden na 2-3 wsie.

Kółka te z pewnością stoją — gorliwością wiernych.

Statystyka „Życia Warszawy" daje nam malutki kluczyk, który pozwala niejedno zrozumieć.

Jest w powiecie łukowskim 70 skrytek. Skrytki — to są zakonnice ze zgromadzenia, którego członkinie, stosując się do reguły zakonnej, żyją jednak nie w klasztorze, lecz wśród ludzi, pracują jak osoby świeckie, ubierają się w ubiór kobiet świeckich. 70 skrytek na 272 wsie — to znaczy w co czwartej wsi zakonnica-skrytka. Kim one są? Kobietami z inteligencji? Być może częściowo. Zapewne jednak — większość z nich to kobiety wiejskie.

Pewnie one są duszą niejednego religijnego poczynania w parafii. I pewnie istnieją obok nich liczni ludzie, kobiety i mężczyźni, starzy i młodzi, którzy nie idąc tak daleko w poświęceniu, by zostawać zakonnicami i zakonnikami, są jednak dostatecznie gorliwi, by prowadzić kółka różańcowe, uczyć dzieci religii itd.

Oto tak wygląda dzisiaj polska wieś! Zaiste! Możemy być z naszej ojczyzny dumni. I możemy być o jej ducha spokojni.

A teraz nasuwa się porównanie.

Ile zakonnic-skrytek tkwi w życiu zbiorowym polskiej emigracji? Ile w ogóle mamy na emigracji powołań zakonnych, męskich i żeńskich? Ile mamy na emigracji kółek różańcowych i w ogóle kółek religijnych? — Bo to nie dość mieć parafie! Życie społeczeństwa katolickiego się na istnieniu parafii nie kończy!

Lubimy zadzierać nosa wobec Kraju: że my wolni, wolni od oddziaływania komunizmu, my przechowujący w stanie nieskalanym ducha polskiego, a oni już trochę przerobieni, przemieleni przez młyn komunizmu... Czy aby nie jest odwrotnie? Czy to nie oni zahartowali się w walce i dzierżą pochodnię życia polskiego i katolickiego — naprawdę?

Trochę więcej pokory i trzeźwości — w ocenie nas samych! I trochę więcej wiary w Polskę, i w naród, i w Kościół — w ocenie Kraju.

POLONUS

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

ANGIELSKIE ECHA KSIĄŻKI KUKIELA

Pod tytułem „The Polish Statesman" „Times Literary Supplement" z dnia 7 października omawia książkę Mariana Kukiela „Czartoryski and European Unity", wydaną, jak wiadomo, w Stanach Zjednoczonych.

Recenzent podkreśla, że choć Adam Czartoryski ma tak głośne w historii polskiej nazwisko jak mało kto, brak było do tej pory obszerniejszej jego biografii, w każdym razie biografii w którymś z języków zachodnich. Dzieła tego dokonał dopiero generał Kukiel, choć musiał pokonać wielkie trudności. Odnośny materiał źródłowy rozproszony jest po całej Europie, w dodatku zaś długie życie Czartoryskiego, które trwało ponad dziewięćdziesiąt lat, związane było z historią w tylu różnych jej okresach i w tylu rozbieżnych punktach, że trudno jest tu ustalić jakąś jedność tematu. Ale — pisze dalej recenzent — generał Kukiel, który przed r. 1939 studiował w Krakowie dokumenty dotyczące Czartoryskiego, w ciągu zaś ostatnich dziesięciu lat przeprowadził wyczerpujące badania dostępnych materiałów w Europie zachodniej, zabrał się do swego zadania umiejętnie i z oddaniem, stwarzając monografię, która będzie miała „wielką wartość dla historyków dyplomacji w długim okresie dziejów Europy".

Recenzent określa Adama Czartoryskiego jako „typowego arystokratę osiemnastowiecznego, który czuł się jak w domu w szeregu stolic europejskich i posiadał szerokie perspektywy międzynarodowe". Zdaniem recenzenta jednak gen. Kukiel posunął się za daleko, uważając Czartoryskiego za „prekursora Ligi Bałkańskiej z roku 1912" i upatrując w instrukcjach, skreślonych przez Czartoryskiego dla specjalnego wysłannika rosyjskiego w Londynie w r. 1804 „preludium wilsonowskich punktów od piątego do trzynastego". „Traktat o dyplomacji" Czartoryskiego, pisany w r. 1827, może być zdaniem recenzenta odbiciem „Grand Design" Sully'ego, ale nie da się umieścić w kontekście Traktatu Wersalskiego ani Ligi Narodów.

Ta uwaga autora recenzji nie jest przekonywująca, ale oczywiście jest to sprawa takich czy innych poglądów. Ogólnie jednak cała recenzja utrzymana jest w tonie dużego uznania i respektu dla dzieła gen. Kukiela.

WSPOMNIENIA KAPITANA ĆWIKLIŃSKIEGO PO ANGIELSKU

W wydaniu londyńskim ukazały się obecnie wspomnienia byłego kapitana m/s „Batory" Jana Ćwiklińskiego, spisane przez publicystę amerykańskiego Hawthorne Daniela (wydawcą jest firma Hale, cena 12/6).

„Times Literary Supplement" z dnia 30 września bardzo przychylnie omawia wspomnienia Ćwiklińskiego. Wcale obszernie charakteryzuje jego koleje życia, określając go na podstawie książki jako „gorliwego patriotę, dobrze spełniającego swój zawód, człowieka praktycznego raczej, niż intelektualistę, człowieka rozmiłowanego w różnorodnym życiu morza".

Ludzi tego typu — pisze recenzent — znaleźć możemy wśród oficerów na statkach brytyjskiej marynarki handlowej — i kończy następującymi słowy:

„Jest to opowiadanie o tragedii, ale kapitan Ćwikliński nie chciałby, byśmy odłożyli jego książkę w nastroju zwątpienia. Pewną jest dla niego rzeczą, że Polska wolna i cywilizowana znów powstanie do życia — kraj, któremu znów z dumą służyć będą mogli ludzie honoru. Możemy tylko czuć respekt dla wiary, która zdolna jest do widzenia tak jasnych horyzontów za ciemnymi chmurami, jakie te horyzonty zasłaniają".

DLACZEGO FRANCJA PRZEGRAŁA WOJNĘ W 1870 R.?

Pod tym tytułem „Figaro Littéraire" (z dnia 1 i 8 października) ogłasza bardzo interesujące wyjątki z pamiętników marszałka MacMahona, jedynego, jak się zdaje, generała francuskiego, który w wojnie francusko-pruskiej 1870/71 roku stanął na wysokości zadania. Pamiętniki te nie były ogłaszane do tej pory, z wyjątkiem kilku stron, dotyczących roli MacMahona w Algerii, które ukazały się drukiem w roku 1930.

MacMahon był z pochodzenia nie Szkotem, jakby można było przypuszczać, ale Irlandczykiem, urodzonym zresztą już we Francji, gdzie jego przodkowie jakobici osiedli. W młodości odznaczył się w walkach w Algerii, później brał udział w wojnie krymskiej; za swe zasługi w kampanii włoskiej w roku 1859 mianowany został marszałkiem Francji i otrzymał tytuł księcia Magenty. Na kilka lat przed wybuchem wojny z Prusami wyznaczony został na stanowisko generał-gubernatora Algerii.

Stamtąd właśnie, zawezwany przez ministra wojny marszałka Laboeufa, ruszył w lipcu 1870 roku do Francji, by objąć dowództwo armii, złożonej z trzech korpusów, które miały się połączyć nad Renem w okolicy Strassburga. Zaraz po przybyciu do Francji MacMahon, jak wynika z ogłoszonych przez „Figaro Littéraire" wyjątków z jego pamiętników, zorientował się, że jej sytuacja militarna jest tragiczna. MacMahon przyjęty został od razu dwukrotnie przez Napoleona III, który mu powiedział, że pragnie na czele armii przekroczyć Ren, właśnie pod Strassburgiem, i uderzyć w taki sposób, by rozdzielić Niemcy północne od południowych. Cesarz był dobrej myśli i nie podzielał doniesień o wyższości technicznej armii pruskiej nad francuską.

Gdy jednak MacMahon przybył do Strassburga, rzeczywistość przeszła najgorsze jego oczekiwania. Dywizje francuskie, przeznaczone do akcji nie były do niej przygotowane pod żadnym względem; brakło im rezerw, artylerii i służb pomocniczych. Intendentury, które pierwsze powinny były znajdować się na miejscu, pojawiły się dopiero, gdy dywizje znajdowały się już w ruchu, lub były już nawet nadwyrężone; musiały one odżywiać się z miejscowych zasobów. Żadna z dywizji nie miała ambulansów; doktor Leroy, który mianowany został naczelnym lekarzem korpusu, na widok tego stanu rzeczy popadł w taką depresję, że się zastrzelił. Brak było też zorganizowanej służby wywiadowczej. Wreszcie — notuje MacMahon — ministerstwo wojny rozesłało do sztabów mapy Niemiec i nawet Polski, ale żadnej mapy lewego brzegu Renu.

W tych warunkach nie dziw, że MacMahon przegrać musiał pierwszą swą poważną w tej kampanii bitwę pod Reichshoffen. Na domiar wszystkiego doszły wiadomości o grożącym wybuchu rewolucji w Paryżu, a z niektórych oddziałów wojskowych padały okrzyki „Vive la République!"

MacMahon opisuje w swym pamiętniku cały tragiczny zbieg okoliczności i pomyłek wojskowych, które doprowadziły do Sedanu. MacMahon w bitwie tej zostaje ranny i wraz z wielką ilością generałów i oficerów dostaje się do niewoli; następnego dnia ten sam los spotyka Napoleona III.

Prusacy udzielają MacMahonowi pozwolenia na powrót do Francji, on jednak odrzuca tę propozycję, oświadczając, że dzielić musi los swych żołnierzy. Dopiero później, spędziwszy szereg miesięcy w Wiesbaden, mieście, które mu przeznaczono na pobyt w Niemczech, wraca do Francji i na czele tak zwanej armii wersalskiej tłumi komunę paryską.

Sprawującemu funkcje szefa rządu Thiersowi MacMahon sprawia kłopot polityczny, odmawiając podania ręki niemieckiemu marszałkowi Manteufflowi, który przyszedł złożyć mu wizytę. Konflikt, wynikły z tego powodu, udało się jakoś załagodzić.

Zdaniem „Figaro Littéraire" pamiętniki MacMahona — które niewątpliwie ukażą się teraz w całości drukiem — rzucają na niego światło dodatniejsze jeszcze, niżby to wynikało z jego legendy.

Dodajmy na zakończenie, że w roku 1873 MacMahon wybrany został prezydentem nowej Republiki Francuskiej na lat siedem. Jego poglądy konserwatywne i monarchistyczne stały się jednak przyczyną gwałtownych na niego ataków. Zrezygnował z prezydentury po sześciu latach, w r. 1879. Zmarł w roku 1893, w sędziwym wieku 85 lat.

Listy do Redakcji

WYKSZTAŁCENIE W ROZUMIENIU POLSKIM I EUROPEJSKIM

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie widzę powodu do odpowiadania w sposób wyczerpujący na list p. K. Bączkowskiego „Polemika z Polonusem: Wykształcenie a snobizm" w ŻYCIU nr 40 z dnia 2. 10. 55 r. Ograniczam się do uwag następujących.

1) Dyktowane rozdrażnieniem wycieczki p. Bączkowskiego na temat korporantów i szlachectwa zupełnie, jeśli idzie o mnie, chybiają celu. Nigdy nie byłem korporantem i szereg razy w życiu dawałem publicznie wyraz memu krytycznemu poglądowi na korporacje studenckie. Nie jestem również szlachcicem, a nawet nie mam, jak p. Bączkowski, nazwiska na ski.

2) Porównania polsko-angielskie na tematy szkolne są rzeczą zupełnie naturalną i konieczną, bo młodzież nasza jest młodzieżą polską, a uczęszcza do szkół angielskich. Otrzymuje ona wykształcenie angielskie, jest jednak rzeczą słuszną zachęcić ją do tego i pomóc jej w tym, by drogą samokształcenia lub innymi sposobami uzupełniła sobie to wykształcenie o rzeczy, które znać powinien człowiek wykształcony w rozumieniu polskim.

3) By widzieć jednostronność i wąskość obecnego systemu wykształcenia angielskiego nie potrzeba być Polakiem, wystarczy być Francuzem, Niemcem, lub Włochem. Weźmy pierwszy fakt z brzegu: przeciętny, wykształcony Anglik, nie specjalista historyk, jeśli się w ogóle uczył historii powszechnej, to tylko historii ostatnich dwóch stuleci. Rezultatem tego jest zadziwiająca krótkowzroczność „pamięci historycznej" w angielskiej opinii publicznej, a w konsekwencji krótkowzroczność tej opinii i brak wyobraźni także i w ocenie procesów historycznych dzisiejszych. Jeśli nie przyniosły one dotąd wielkich szkód, to tylko dlatego, że Anglia jest wyspą. I czy naprawdę nie przyniosły? Czy np. naiwność opinii brytyjskiej, a w konsekwencji i polityki brytyjskiej w ocenianiu Sowietów i ich polityki np. w latach 1944 i 1945 nie przyniosła straszliwych szkód?

4) Nie brak jest i w Anglii ludzi i prądów, odnoszących się krytycznie do obecnego systemu wąskiej specjalizacji w studiach średnich i wyższych. Przykład: nowatorski eksperyment, jakim jest założony w 1949 roku uniwersytet w North Staffordshire, którego założeniem jest dawanie swoim słuchaczom zaokrąglonego zasobu wiedzy zarówno humanistycznej jak i matematyczno-przyrodniczej i który na pierwszym roku studiów w swoim programie daje „ogólne wykształcenie", uderzająco podobne do tego, co na kontynencie daje swoim maturzystom szkoła średnia. — Odwrót od obecnego systemu wąskiej specjalizacji może przyjdzie w szkolnictwie angielskim prędzej, niż się niektórym zdaje.

Z poważaniem

POLONUS

*

WIECZÓR AUTORSKI PISARZY

Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie urządza dnia 21 bm., w piątek, o godzinie 7.30 wieczorem zbiorowy wieczór autorski w Instytucie im. Gen. Sikorskiego.

Wystąpią: Czesław Bednarczyk, Edward Chudzyński, Ferdynand Goetel, Janusz Kowalewski, Teodozja Lisiewiczówna, Marian Łysakowski, Józef Mackiewicz, P. Szudek, Florian Śmieja, Tadeusz Zajączkowski, H. Żurkowska. Przewodniczy Tymon Terlecki.

PO ŁEPKACH

„KRAKÓW W SŁOŃCU, KRAKÓW W TĘCZY"

Nie zawsze ziarna publicystyki emigracyjnej padają na opokę. Bywa, że coś przecież poruszy ludzi rządzących naszym Krajem lub ludzi rządcm tym się wysługujących. Ilekroć jakaś z trosk emigrantów znajdzie u nich odzew, to tak jakby w przepaść między nami padał kamień. Przepaść to nie do wyrównania, ale my z uporem wierzymy — contra spem speramus — że przecież sumienie polskie jest czulsze od złej doktryny. Wierzymy, że nawet najczerwieńsi komuniści polscy wolą melodię mazurka Dąbrowskiego od „Międzynarodówki", a biało-czerwone kolory bliższe są ich sercom od jednej z tych barw. Nie ukrywamy więc, że radość nam sprawia każdy, nawet drobny dowód, iż głos nasz dotarł do Kraju. Zdarza się to, niestety, niezmiernie rzadko. Najlepszą prasę w Kraju ma rozpacz emigrantów. Wiara i siła woli wyzwalają natomiast upusty nienawiści.

Są zwolennicy poglądu, że jedyny kontakt emigracji politycznej z reżymem komunistycznym w Kraju znajduje się na ostrzu miecza. Że nie mamy sobie nic wzajem do powiedzenia, poza słowem: walka. Słusznie. Walka. Ale zły to strateg i zły taktyk, który uznaje tylko jeden rodzaj walki. Komuniści dają nam przykład, jak wielorakie mogą być sposoby prowadzenia walki ideologicznej. Miecz z pochwy dobywają tylko w ostateczności.

Walka z bezbożnym komunizmem jest istotnie obowiązkiem każdego wierzącego chrześcijanina. Ale obowiązkiem chrześcijanina jest toczyć ją po chrześcijańsku, nie ludzi nienawidząc, lecz zło samo. Komunizm tkwi w duszach. Trzeba dotrzeć do dusz komunistów, aby stoczyć walkę z komunizmem. Aby zaś ta walka była skuteczna, przy całej nienawiści do komunizmu potrzebna jest miłość do ludzi wyznających i praktykujących komunizm. Nie dlatego, że go wyznają i praktykują, ale aby ich od złego odwieść i wyzwolić. Tylko w imię miłości bliźniego mamy prawo podnosić broń. Tylko w imię miłości naszych braci mamy prawo do walki z komunizmem w Polsce. Walcząc z reżymem w Kraju, nie zapominajmy, że tę walkę prowadzimy o własny naród, nie zaś z własnym narodem. Tylko miłość daje prawo do walki pojętej po chrześcijańsku.

Dlatego mamy oczy i uszy otwarte na wszystko, co się dzieje i co się głosi w Kraju

Radio „Kraj" odpowiedziało na felieton ŻYCIA z dnia 3 lipca br. pt. „Burzenie Krakowa" audycją w dniu 16 września br. w opracowaniu Ryszarda Podlaskiego, zakończoną muzyką Elsnera. Przytaczane przez pisma i radiostacje reżymowe artykuły z prasy emigracyjnej są z reguły preparowane tak, żeby każde wystąpienie skarykaturować albo dosadniej mówiąc, aby odwrócić kota ogonem. Do tego celu służą wyrwane i urwane zdania z oryginalnego tekstu, pospolite przekręcenia i dowolne interpretacje. Dopiero na tak spreparowanej mierzwie publicyści reżymowi wykonują taniec zwycięstwa, depcąc „płaskie i nieuczciwe myśli", jak uprzejmie nazwał felieton ŻYCIA o Krakowie Ryszard Podlaski w finale swej audycji z Warszawy.

Podjął on trud, godny zazdrości: natychmiast po przeczytaniu felietonu w ŻYCIU, tego samego dnia wyleciał z Warszawy, aby na miejscu w Krakowie sprawdzić jego prawdziwość. „Po kilku kwadransach samolot Lotu zbliżał się do Krakowa... Po chwili wśród wież zabytkowych kościołów krakowskich można było bez trudu dojrzeć koronkową wieżę mariacką i potężny masyw wzgórza wawelskiego."

Dajmy na chwilę folgę uczuciom. Tuż przed wojną śpiewano głupiutką piosenkę, w której rekwizyty krakowskie służyły za pretekst do miłosnego zerwania. Brzmiało to mniej więcej tak:

„Jak hejnał, co z mariackiej wieży dźwięczy,
Kraków w słońcu, Kraków w tęczy.
Jak hejnał wszystko nagle się urwało,
Cóż zostało z dawnych dni?"

Jak hejnał wszystko nagle się urwało... I dlatego ta głupiutka piosenka szła z nami, krakowianami, aż na kraj świata. A pan Podlaski niech się nie dziwi, że z tak straszliwie ciężkim sercem przychodzi nam słuchać głosów o burzeniu i świadomym zaniedbaniu Krakowa.

„Do późnego wieczora — mówił p. Podlaski — spacerowałem po starych, znanych od dzieciństwa ulicach. Wstępowałem do kościołów, oglądałem wszystkie zakamarki Sukiennic i nigdzie nie mogłem odnaleźć śladu tej apokaliptycznej katastrofy rozsypującego się w gruzy Krakowa, której obraz wyniosłem z lektury Bielatowicza." Więc jakże to? Czyżby dosłownie przytoczone przez nas sądy konserwatorów i głosy prasy krajowej były emigracyjnym wymysłem? Przecież przytoczyliśmy je jak dokumenty, z podaniem źródeł i dat. Jeśli jest inaczej, Ryszard Podlaski powinien sobie zadać trud obalenia tych twierdzeń. Jeśli go stać na fatygę lotu z Warszawy do Krakowa, powinien rzucić cyfry, dowody i fakty, druzgocące emigranckie wymysły.

Niestety. Pogadanka radiowa Podlaskiego nie pozostawia żadnych złudzeń. „To prawda — przyznał — że wiele budynków krakowskich czeka od lat na konserwację." I nic, dosłownie nic więcej, ani słowa, które by obalało twierdzenie o rozsypywaniu się w gruzy kościołów i kamienic krakowskich. Dowiedzieliśmy się tylko, w wyniku lotniczej podróży felietonisty warszawskiego do Krakowa, że oprócz budowy nowoczesnego Babilonu, nikomu niepotrzebnej Nowej Huty pod Krakowem, planuje się (planuje, nie buduje!) „wielkie osiedle" na Dębnikach. Poza tym istnieją „plany urbanistyczne rozbudowy Krakowa, tak żeby mogło tu przestronnie i po ludzku mieszkać około 700.000 ludzi".

Czekaj tatka latka. Na razie mieszka w Krakowie niewiele więcej niż połowa wymienionej liczby przyszłych mieszkańców, ale za to nie przestronnie i nie po ludzku. Bo — jeszcze raz to z naciskiem stwierdzamy — reżym postanowił zemścić się nad „reakcyjnym" miastem i od dziesięciu lat skazał Kraków na powolne skapienie. Cóż komu z planów urbanistycznej przebudowy? Te plany są istną manią podrządami komunistów. Na papierze kończy się zawsze ich zamaszyste „urbanistyczne planowanie"! Plany takie mają taką samą wartość, co ustawiane przez dzieci klocki i domki z kart.

Podlaski wymienił w swej audycji aż sześć pracowni konserwatorskich na Wawelu, łącznie z pracownią odbudowy zniszczonych ram. Cóż z tych pracowni, skoro z Wawelu, jak i z innych zabytków krakowskich, sypie się gruz? Wykonane dotąd prace, łącznie z owymi ramami, są bez większego znaczenia, nie żeby lekceważyć trud konserwatorów. Bynajmniej, gdyż ci uparci ludzie borykają się przecież z głuchą i tępą premedytacją reżymu, aby Kraków pozostawić swojemu losowi, co w ustroju komunistycznym oznacza zagładę. Należy się im tylko podziw.

Szczyci się też p. Ryszard Podlaski, że Wawel zamieniono na muzeum kultury narodowej. Nic nie trzeba było zamieniać, gdyż Wawel był muzeum kultury polskiej od dziesięciu wieków, a zmiana jest tylko ta, że zamek i inne budowle wyjęto spod opieki metropolii. Zrabowano również kościołowi mariackiemu ołtarz Wita Stwosza, umieszczając go w muzeum wawelskim. Oto cały plon dziesięcioletniej troski reżymu o zabytki dawnej stolicy.

Nad Krakowem trwa noc. Słońce i tęcza pozostały pokarmem naszej tęsknoty.

J. B.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 0734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna zgóry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. WPŁATY a) w krajach bloku szterlingowego: Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam = £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: „Libreria Polaca", Serrano 2076 piso I, Buenos Aires. AUSTRALIA: „Vistula" (Aust) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney oraz „Społem", 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A. BELGIA: Mme E. Kulakowska, 129, Rue du Cornet, Bruxelles 4. Prenumerata kwartalna: 90 frs. BRAZYLIA: Mme Z. Kietlińska Casa „Acao", Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. Książnica Polska, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro, ks. dr Antoni Łatka, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo i Mons. W. J. Slapa, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: ks K. Stolarek, OMI, 29 Av. Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, S. et M.), CC 5 603 40. Pren. kwart.: 540 fr. HOLANDIA: B. Galas, Fagelstraat 15A, Breda. KANADA: Canadian Mosaic Publishers, Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. International Book Service, 57, Queen Str. W., Toronto NIEMCY: St. Mikiciuk, Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 45 oraz „Informacja Prasowa", Postfach 86, (23) Quakenbrück, Prenumerata kwart. 8 RM. NORWEGIA: B. Łubiński, Kongesgat 2, Moss. STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication", 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y., Mme J. Stojanowska, 424 Ave. „E", Bayonne, N.J. oraz „Pomoc" — Eksport - Import, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenum. kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: Mgr. A Bocheński, Case Postale 19, Fribourg 2. Pren. kwart. 5.00 frs. SZWECJA: Mgr. B. Kurowski, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 10 kr. WŁOCHY: Mme Z. Bułhak-Jelska, via Salaria 300 C. Roma. W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 0734.